NOWE CENY
Z PRZESYŁKĄ DO POLSKI
10 gr. Streptomycyny 2. 4. 0
3 milj. Penic. Oleistej z Prokainą 0.15. 0
5 milj. Penic. Krystal. (10 zastrz. po 500.000 j.) 1. 6. 6
wysyła
APTEKA GRABOWSKIEGO
187, Draycott Avenue, London, S.W.3.
TEL.: KENsington 0750

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

KS. PROF. EUGENIUSZ DĄBROWSKI
ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA
W OPISIE EWANGELISTÓW
Wydanie Pallotinum, 1951.
Cena 21/-, z przesyłką 21/9
Do nabycia:
VERITAS FOUNDATION PUBL. CENTRE
12, Praed Mews, London, W. 2.

ROK VI. Nr 26 (262)

LONDYN, 29 CZERWCA 1952 R.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

„DWA GŁOSY" WIKTORA HUGO I JULIUSZA SŁOWACKIEGO

(W ROCZNICĘ W. HUGO)

Zygmuntowi L. Zaleskiemu

Stopięćdziesięciolecie urodzin autora „Nędzników" obchodzono we Francji z mieszanymi uczuciami. Jego grandylokwencja, retoryka i jaskrawość pokrywają niewątpliwą płyciznę myśli i rudymentarność psychologii. Toteż teatr jego jest już prawie nie do zniesienia, a powieść jest mało czytana, choć „Nędznicy" — raczej należałoby przekładać „Les Misérables" przez „Nędzarze" — zachowują swoich wiernych, mimo swych dłużyzn i uproszczeń.

Pozostaje liryk bardzo znakomity dla swego istnego władztwa nad mową francuską, zwłaszcza nad jej wierszem i przede wszystkim nad aleksandrynem, francuskim dwunastozgłoskowym, odpowiednikiem naszego epickiego trzynastozgłoskowca. Takich aleksandrynów nie pisał we Francji nikt — od czasów wielkiego Ronsarda.

W rzeczywistości rzeczy przedstawiają się bodaj tak, że rytmy i rymy nasuwają Wiktorowi Hugo myśli i pewno metafory. Te metafory są czasem naiwne i niecierpliwiące, a często wspaniałe i niezapomniane. Jednej tylko cnoty mu brak — kompozycji i umiaru. Tam nawet, gdzie nieraz wiersz jest piękny, metafora ciekawa, wyraz mocny i jędrny — całość utworu bywa nieujarzmiona. tok słowa nieposkromniony i ostatecznie pozostaje się pod wrażeniem, że dany utwór mógłby sobie tak dalej płynąć bez końca i że właściwie jest obojętne, czy ma on strof szesnaście, czy dwadzieścia, czy trzy dziesiątki.

W istocie sprawy się więc mają tak, że z Wiktora Hugo trzeba wyławiać wiersze, obrazy, metafory — nigdy nie szukając pełnej całości. André Gide zapytany kiedyś, kto jest największym francuskim poetą? — odpowiedział: „Victor Hugo, hélas!" Wiktor Hugo, niestety!

* * *

Z tego co się wyżej rzekło, wynika chyba dość jasno, że Hugo jest poetą o krańcowo innej naturze, niż Słowacki. Toteż autor „Kordiana" go nie znosił: „patapuf zupełny" — pisał kiedyś o nim do matki. Nie przeszkadzało to jednak temu, że go czytał i nawet czasem zapamiętywał.

I tak n.p. od dawna zauważono, że z młodzieńczego zbioru Huga „Les Feuilles d'automne" (1832) przeszła pewna apostrofa wraz z zawartą w niej metaforą do „Przygotowania" do „Kordiana". Hugo — jest to jego cechą sympatyczną — był bardzo wolnościowy. Chętnie uprawiał retorykę, jeśli nie poezję, polityczną. Tak więc w owych „Liściach jesiennych" można znaleźć ustęp dotyczący tyranii carskiej nad ujarzmioną Polską, choć ostrze utworu nie jest wyłącznie polskie i kieruje się w ogóle ku apoteozie wszystkich współczesnych martyrologii narodowych. Wiersze o Polsce przedstawiały Kozaka gwałcącego Warszawę:

Quand un Cosaque affreux, que la rage transporte,
Viole Varsovie échevelée et morte;
Et souillant son linceul, chaste et sacré lambeau,
Se vautre sur la vierge étendue au tombeau!

Na taki widok on, poeta, przeklina owych władców gnębiących Grecję, Irlandię, Niemcy, Portugalię, Włochy, Belgię i przede wszystkim Polskę. On, poeta-wieszcz czuje się w prawie pognębienia ich w oczach historii:

Je sens
Que la muse indignée, avec ses poings puissants,
Peut, comme au pilori, les lier sur leur trône.

Ten właśnie obraz tronu-pręgierza odnajdzie się w „Przygotowaniu" do „Kordiana":

Ten naród się podniesie,
zwycięży i zginie;
Miecze na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię,
Ona jak powróz wrogi uwiąże za szyję,
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy wzrokiem dosięgną i plwaniem.

Ten ślad Huga w „Kordianie" zauważono już dawno.

Okazuje się jednak przy bliższym wejrzeniu, że pamięć o „Feuilles d'automne" zachował Słowacki długo, bardzo długo. Inny oto utwór z tego zbiorku odezwie się u niego, w dziesięć lat później, na samym już progu mistycyzmu, w roku 1842!

Jest mianowicie w „Liściach jesiennych" poemat zatytułowany „Ce qu'on entend sur la montagne". Słychać tam na szczytach dwa głosy, jeden błogosławiony, a drugi przeklęty. Te szczyty — „o altitudo"! brzmi motto wiersza —to tylko urwisty brzeg Bretanii nad oceanem. Jest tam jednak urwisko lądu i ocean.

Owe dwa głosy — to wspaniały, czysty głos oceanu i ponury, zgrzytliwy głos lądu:

Bientôt je distinguai confuses et voilées,
Deux voix...
L'une venait des mers; chant de gloire! hymne heureux!
C'était la voix des flots qui se parlaient entre eux;
L'autre, qui s'élevait de la terre ou nous sommes,
Etait triste; c'était le murmure des hommes;
Et dans ce grand concert, qui chantait jour et nuit.
Chaque onde avait sa voix et chaque homme son bruit.

Naprzód oddaje poeta głos oceanowi — i znajduje tu jedną ze swych najpiękniejszych metafor, istotnie wspaniałą: ocean wznosi się i opada, hucząc, o złotym zachodzie. Niby lew Daniela czasem cichnie, a wtedy jakby po jego złocistej grzywie kładła się dłoń Boża...:

Et chacun re ses flots que Dieu seul peut dompter,
Quand l'autre avait fini, se levait pour chanter.
Comme ce grand lion dont Daniel fut l'hôte,
L'océan par moments abaissait sa voix haute,
Et moi je croyais voir, vers le couchant en feu,
Sous la crinière d'or passer la main de Dieu!

Ale tu wpada w ten chór przerażający głos drugi, ponury i zgrzytliwy, głos lądu:

Cependant, à coté de l'auguste fanfare,
L'autre voix...

Niby zgrzyt wrót piekielnych, niby spiżowy smyczek trący o żelazo: to płacz, klątwa, odmowa wiatyku i odmowa chrztu, bluźnierstwo i rozpacz:

Comme le gond rouillé d'une porte d'enfer,
Comme l'arche d'airain sur la lyre de fer,
Grincait; et pleurs, et cris, l'injure, l'anathème,
Refus de viatique et refus du baptême,
Hélas! c'était la terre et l'homme qui pleuraient.

Bardzo uderzający jest ten piąty ustęp „Liści jesiennych" i bardzo dla Huga znamienny: właśnie ta gwałtowna jaskrawa antytetyczność dwu głosów, świata i ciemni, harmonii i zgrzytu, oceanu wreszcie i człowieka jest mu właściwa i jest tym, co się po przeczytaniu tych wierszy — pamięta.

* * *

Zapamiętał to i Słowacki i po swojemu przerzucił to we własną, zupełnie inną, sferę wyobrażeń. Zapamiętał głównie jedno: kontrast dwu **głosów**...

W tym roku 1842 był Słowacki ogarnięty tworzywem poetyckim Konferencji Barskiej. Był po pierwszych pięciu pieśniach „Beniowskiego". Snuł swój wątek dalej, ale na inną nutę. Porzuciwszy baraszkowanie i satyrę emigracyjną, coraz bardziej dawał się porywać epice barszczyzny: marzyła mu się Iliada Barska. Powoli wyrastał mu na olbrzyma Ksiądz Marek, karmelita, usuwający nawet w cień samego Beniowskiego. Za jakiś czas zesunie mu się Ksiądz Marek z epiki — w dramat. Ale tymczasem, w tym roku 1842, przed akcesem do towianizmu, gdzieś między pierwszą redakcją dalszych pieśni „Beniowskiego" a późniejszym nieco dramatem o Księdzu Marku — rzucił Słowacki pierwszy szkic poematu o Księdzu Marku, pisanego nie oktawą, ale właśnie epickim jednostajnym wierszem.

Fragment ten jest niezwykle piękny, bardzo w rozwoju pojęć Słowackiego ważny — i on to właśnie wykaże przetworzoną reminiscencję owych **dwu głosów** Wiktora Hugo.

Przetworzenie motywu jest potężne, na wskroś oryginalne i dla rozwijającej się wciąż wyobraźni poety rewelacyjne.

Oczywiście motyw krajobrazu bretońskiego urwiska przeniesiony jest — jakżeby inaczej — do Polski, do wschodniej Polski, na kresy. Gdzież tu szukać odpowiednika oceanu?Tam, gdzie go przecież znalazł i Mickiewicz — „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu" — na stepach! Wszak już w V pieśni Beniowskiego czynił Słowacki ze stepu jakby symbol nieskończoności i ogromu:

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kto cię nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie...

Takim to stepem wraca Ksiądz Marek z Ukrainy ku Polsce, poprzez Podole: za nim jest step ukraiński, a przed nim polskie, podolskie uprawne pola i lasy. Cóż za piękno: dwa czary. Jest zachód słońca: złotem i purpurą — nie, koralem — ocieka jakby podolski krajobraz.

(Koral i złoto sypią na podolskie lasy,
A te około domów — jak jedwabne pasy)
Niby dziewczę smętnego — a pięknego ducha,
Które dzban duży — za dwa uchwyciło ucha
I złotem — albo żywym koralem polewa
Trzody cicho stojące na łąkach — i drzewa.
Za nią odlatujące słońce razi oczy
I z czasem z widnokręgu tak jak krąg odskoczy
I siedem razy kolor w podskoku odmieni —
Taki ogień i taka smętna gra płomieni
W jego smętnym obliczu...

Na tło tego czaru zachodzącego słońca rzucony jest intuicyjnie uchwycony dramat myślowy Księdza Marka, owego Polaka umiłowaniem obejmującego najdroższą ziemię ojczystą:

...I często ksiądz stanie
I patrzy na to dziwne lasów malowanie,
Na te dworki... i dwory... i te żytnie stogi,
Kościoły obfitości... On sam był ubogi,
Ale go ta ojczyzny obfitość cieszyła,
Równie jak piękność kwiatów — albo ludzka siła,
Albo chłopek spotkanych Dyjaniane chody,
Gdy na koronie z kwiatów... stawiały dzban wody
I pod słońce... powoli z równowagą niosły,
A tak na horyzontach jak boginie rosły...

Ksiądz chłonie **kulturę**, tę **cywilizację** polską wszystkimi porami: on ubogi, ale cieszy się pięknem zamożności polskiej, gospodarstwa, siły, wreszcie piękna chłopek-Podolanek. Wolno mu — bo Polakowi wolno cieszyć się pięknem wszystkiego co ojczyste.

I tu się ksiądz Marek obrócił:

I tam, gdzie się już księdzu na stepach kończyły
Postawione skazówką — odwieczne mogiły,
A zaczynała się pól podolskich uprawa,
Lasy dębowe... stawy... trzód i ludzi wrzawa,
Obrócił się ksiądz... jeszcze posłuchać dwóch głosów...

Dwa głosy!

Tu harfa nieużętych jeszcze żyta kłosów
Z brzękiem owsa... gdzie kłosek o kłosek podzwania,
Szum podobny do płaczu, śmiechu i śpiewania,
Pod błękitami... harfą niewidzialną grany.

To głos jeden, polski i podolski, pogodny. A drugi?

Tam ze złą swoją twarzą wężową burlany,
Koralowymi w stepy ciągnące się pasy
Jak dzid, wężów i ludzi połamane lasy,
Las ogromny i szaro-srebrny — i pobladły,
Z kości, co jeszcze sterczą — z trupów, co nie padły
Stoi... i czasem tylko wiatrem tknięty warczy,
Albo coś dzid pochyli ku miesięcznej tarczy
Równie jak morze... które fale pokryształi
I na srebrny je miesiąc szwadronami wali,
Aż gdy spotka ogniste słońce na bałwanie,
To jako na komendę... wał przy wale stanie
I stoi, srebrzystymi skrzydły rozpostarty,
Większych duchów... złotymi oczyma odparty
I przerażony...

Jest więc w tych stepowych rubieżach i morze i zachodnia pora — „ogniste słońce na bałwanie", — a tylko zamiast „la main de Dieu", uśmierzającej ręki Boga, przemawiają tu — w mistycznym okresie — jakieś „większe duchy," odpierając walące fale „złotymi oczyma"...

Bo też i Słowacki nie rozumuje tu kosmicznie, jak Hugo, ale historycznie. Któż to są te większe duchy na stepie? Szukajmyż ich oczyma przeszłości, oczyma historii:

...O wy srebrne morze cierni,
Tak dawniej, kiedy na was... wiecieli pancerni,
I girlandą złotych tarcz... spychali z tej roli,
Wyście ustępowały przed ludem powoli...
A za tarczami... pługów szły żelazne wiosła,
Orały was... i wielka wieś na polach rosła
Po waszych wytrzebionych — ciernistych olbrzymach,
Jakaś wieś tajemnicza... o tysiącu — dymach,
Większa niż miasto... w stepach sama się rodziła...
A przy niej krzyż... i siostra rycerska mogiła,

Jest w tym fragmencie coś jakby z „Kulturhistorische Gedichte" Schillera, pod postacią kultury polskiej wpierającej się w cofający się step...

Taka to walka **dwu głosów** — **deux voix** — na dzisiejszym nawet stepie, na rubieżach Rzeczypospolitej. Właściwie to i dziś nawet bezkarnie tam Polakowi chodzić trudno: wielka pokusa zrywa się na tych stepach:

Lecz taka jest harmonia, że dla ścmionych powiek
Na wytrzebionych polach — stoi **burzan człowiek**
I dopiero wyrasta na piękność rycerzy.
Bo byle gniew... to w noże się (cały) najeży,
Bo byle skra... to cały ogniem się zapali,
A byle smutek, to się od ludzi oddali
I gdzieś sam na miesiącu... a szatanów blisko
Przy kurhanach... w posępność rośnie jak ciernisko.

Takie to stepów głosy weszły były w duszę Księdza Marka, oglądającego się coraz na radosne Podole:

Ksiądz, stojąc pod niebieskim księżycowym dachem,
Przyszły głos stepów słyszał... i poczuł go strachem.

Niezmiernej piękności, ale i niezmiernej wagi jest ten akcent przestrogi przed stepem, jego porywającym pięknem, jego urzekającym czarem, ale i jego obcością. Jest to etap 1842 roku. Wątek Ukrainy będzie się wciąż przewijał w poezji Słowackiego okresu mistycznego, znajdziemy go i w „Śnie srebrnym Salomei" i w „Królu Duchu". Będzie on różnym fazom ulegał. O tym etapie z roku 1842 nie należy zapominać, mimo jego fragmentaryczności.

Zaś Wiktor Hugo pomógł swoim obrazowaniem do krystalizacji myśli Słowackiego.

Można by się tu zastanowić nad następstwem zapamiętanych motywów w wyobraźni Słowackiego. Co było źródłem? co pierwszym pchnięciem? Czy treść akustyczna: dwa głosy? Czy obraz wzrokowy: owo wzdymające się i cichnące morze? Czy może samo starcie dwu światów i cofanie się przed wyższą siłą i wyższym duchem?

Zaprowadziłoby nas takie rozważanie zbyt daleko. Niech nam wystarczy, że reminiscencja z Huga pozwala nam jakby zajrzeć w warsztat poetycki Słowackiego, podpatrzeć, jak mu się wątek przędzie z osnową, podsłuchać, co mu szumi i szepce w tej jego cudownej, bogatej, złożonej i w nieskończoność harmonizującej wyobraźni.

...Bo o tej wspaniałej, burzliwej wyobraźni, niby o oceanie, można by z kolei powiedzieć:

Et moi je croyais voir, vers le couchant en feu,
Sous la crinière d'or passer la main de Dieu.

Władysław Folkierski

ROSA BAILLY

ŚWIĘTY PIOTR

Sprężywszy ramię jak kamień,
Sieć zarzuciłem, o Panie,
Na Twoje słowo.
Wątpiąc w połowu obfitość,
Sieć zarzuciłem odwitą
W toń lazurową.

A teraz łódź ociężała
Chwieje się, nurza się cała
W pian bujnych śniegu!
Ujmij mi, Panie, mozołu!
Jakże przyciągnę ten połów:
Do Twego brzegu?

Łódź z pian się wolno wynurza,
Świecą w niej gwiazdy i róże
Przez oka siatki;
Sieć oplątana kwiatami,
W morzu nalanym blaskami —
Płatki i płatki...

Bukiety świecą przez wodę,
Świat cały stał się ogrodem
Cudu i wzruszeń!
Niebo światłością zalane!
Cóżem więc złowił w ten ranek?
— O Piotrze, duszę!

Rosa Bailly
Przełożyła Zofia Bohdanowiczowa

Z tomiku Rosy Bailly: *La flamne et la rose.* Poème. Éditions de la Forge. Paris. 1940.

(Poemat ten pisała poetka w Polsce, w kościołach Krakowa, Wilna, Lublina, Poznania, Przemyśla, Lwowa i Tarnopola.)

W kościele św. Piotra i Pawła w Wilnie

Kopuła.

Oto kopuła niebieska
Niesiona na arabeskach,
Z owoców, gałązek, kwiatów.
Zbudowaliśmy te sklepienia
Z obfitości, z wesela, z uniesienia —
Według woli Stworzyciela światów.
Wyszły z tej kopuły anioły
By podtrzymać ją skrzydeł lotem;
A my niesiem ją na wietrze wesołym,
Nadmuchując ją słońcem złotym!
Niech tu zabrzmi muzyka radości
Organów pieśnią bogatą —
I niech krąży w nieskończoności
Gwiazda z owoców i kwiatów!

Rycerz.

Aureola stalowa ściska skronie moje,
Twarz i metal jednako pełne chłodnych blasków.
W ciasną formę pancerza zakowany stoję
I widać ze mnie tylko spojrzenie spod kasku.
Gdy żywcem pogrzebany w tej żelaznej trumnie,
Tylko szabla mię trzyma w okręgu błyskawic,
Tylko pycha mnię sławi donośniej i dumniej,
Niż czyny, co za życia nie mogły wystawić.
Może to moja wola i pragnienie moje
Wokoło mnie okrzepły w hartowaną zbroję?
A może młoty ognia o złotych obuchach
Przekuły w stal me ciało na kowadle ducha?

BEATA OBERTYŃSKA

Jagodna

Podziwu godna — urodna —
łaską nabrzmiała jak pieśnią,
Poziomko nad poziomki
i nad czereśnie Czereśnio
Panno Dojrzała!

Malino niebywała
świętości pełna; jak soku —
Ożyno górskich zrębów,
Kalino przy potoku
Panno Dojrzała!

Coś się jak łąka zaniosła
pieśni gorącą godziną —
w błękicie zanurzona
rumiana Jarzębino
Panno Radosna!

Patrz! Padła już na kolana
pogoda w kurz koleiny
i czeka na Twe miodne —
jagodne Nawiedziny
Panno Witana!

Beata Obertyńska

WSKRZESZENIE KAPITUŁY WROCŁAWSKIEJ

Dnia 29 lipca 1951 Katedra Wrocławska, dźwignięta z ruin wysiłkiem i ofiarnością społeczeństwa, została uroczyście poświęcona przez Prymasa Polski, ks. arcybiskupa dra Stefana Wyszyńskiego.

Dnia 29 maja 1952 Prymas Polski w obecności Wikariusza Kapitulnego Archidiecezji Wrocławskiej dokonał uroczystego aktu instalacji odnowionej przy Katedrze Kapituły.

Jest to doniosłe wydarzenie w dziejach organizacji Kościoła katolickiego i stanowi symbol scalenia ziem Dolnego Śląska z Kościołem katolickim w Polsce.

Wielki ten akt organizacyjny dokonał się za zgodą i na zlecenie Stolicy Apostolskiej, co kładzie raz na zawsze kres fałszywym oskarżeniom, jakoby Stolica Piotrowa nie godziła się na pełną restytucję praw polskich katolików na Ziemiach Odzyskanych.

Radość katolików w Kraju ze wskrzeszenia Kapituły Wrocławskiej dzielimy całym sercem.

DEKRET KS. ARCYBISKUPA DRA STEFANA WYSZYNSKIEGO PRYMASA POLSKI

Ze względu na to, że pragnieniem katolików polskich jest, aby została przywrócona świetność kultu liturgicznego w katedrze wrocławskiej, zburzonej w czasie strasznej wojny, teraz zaś staranną i chwalebną troską kleru i ludu polskiego odbudowanej a przez Nas Bogu Wszechmogącemu na nowo poświęconej;

mając również na uwadze dobro archidiecezji wrocławskiej, potrzebującej, przewidzianego przez Kodeks Prawa Kanonicznego, zespołu czyli kolegium duchownego, które będąc senatem Ordynariusza i zastępstwem w czasie wakansu stolicy biskupiej, będzie mogło wzmagać autorytet władzy kościelnej i utwierdzać jedność kleru;

uwzględniając to, że beneficja kanoników rezydencjalnych, którzy opuścili swe stanowiska we Wrocławiu, uznane zostały za wakujące z powodu długiej nieobecności kanoników (trwającej już siedem lat) i zaniedbania przez nich obowiązku rezydencji, mianowanie zaś nowych kanoników pod nieobecność konsultorów jest, zważywszy nadzwyczajne okoliczności, pilną potrzebą, dla utrzymania dyscypliny kanonicznej na terytorium Śląska Dolnego:

mocą specjalnych uprawień udzielonych nam przez Stolicę Świętą, przywracając kapitułę kościoła katedralnego wrocławskiego, nadajemy niniejszym dekretem prelatury i kanonie tej kapituły następującym kapłanom: Pierwszemu Prałatowi Kapituły, Prepozytowi, ks. Kazimierzowi Lagoszowi, ks. Franciszkowi Niedźbale, ks. dr Kazimierzowi Kotuli, ks. Nestorowi Szukalskiemu, ks. Bolesławowi Gawłowi, ks. Andrzejowi Gromadzkiemu, ks. Janowi Piskorzowi, ks. dr Józefowi Marcinowskiemu, ks. Wacławowi Jabłońskiemu, ks. Piotrowi Jaroszkowi, ks. dr Wincentemu Urbanowi, ks. Wacławowi Szetelnickiemu.

...Dekret niniejszy ma moc niezależnie od jakichkolwiek przeciwnych uroszczeń.

Dan w Gnieźnie, dnia 26 maja, roku Pańskiego 1952.

KAZANIE PRYMASA

W IMIĘ Ojca i Syna i Ducha Świętego! Prześwietna Kapituło Katedralna, najmilsi współbracia Kapłani, drogi Ludu Boży Archidiecezji Wrocławskiej!

W okresie Zesłania Ducha Świętego Kościół Boży tak często wypowiada tę prośbę: „Umocnij to, Panie, czegoś dokonał wśród nas w Twojej świątyni". Te słowa i My dziś wznosimy ku Bogu wdzięcznym sercem, świadomi tego, co Bóg zapragnął dokonać w ośrodku tej świątyni na oczach zebranego duchowieństwa i wiernych przez nasze pokorne posługiwanie kościołowi wrocławskiemu.

W CZASIE majowych dni wypełniamy szczelnie tę rozległą świątynię. Wchodząc tutaj spoglądamy ufnym sercem ku Matce Najświętszej, której słodkie oblicze patronuje temu placowi, która tutaj pierwsza była i która spoglądała swoim czujnym i macierzyńskim okiem, jak z ran straszliwych odnawiała się ta prastara świątynia. Maria pierwsza tu była. Pod Jej opieką, też uleczonej z ran wojennych, pod Jej opieką pracowite dłonie robotników polskich i zapobiegliwa troska rządców tej diecezji leczyły macierz wrocławskich kościołów, krewniaczkę najbliższą prastarej świątyni polskiej ze wzgórza Lecha w Gnieźnie — katedrę wrocławską. I gdy już ona, piękna jak oblubienica przygotowana została oblubieńcowi Jezusowi Chrystusowi — dziś z kolei dane nam było dokonać jeszcze jednego odnowienia, odnowienia prześwietnego grona sług wybranych tej świątyni, tego ołtarza, powołanych przez Kościół Chrystusowy, aby modlitwami wypełniali te mury i na nowo je przenikali tym wspaniałym, tym wybornym dążeniem serc ludzkich nieśmiertelnym dążeniem człowieka ku Bogu. Jak na progu tej świątyni, tak Maria stoi na progu chrześcijaństwa, tak stoi na progu chrześcijańskich dziejów naszej Ojczyzny, tak stoi na progu każdej duszy, która jest świątynią Boga. Albowiem już wtedy, gdy zapadł mrok pierworodnego grzechu ludzkości, gdy z rajskich wrót człowiek wyszedł na ziemię, która odtąd ciernie, głóg i osty rodzić miała, gdy każdy człowiek miał witać tę ziemię cierpieniem i morzem łez, Bóg miłosiernym swoim sercem wyczarował wspaniały obraz Tej, która miała zetrzeć w proch głowę węża, Tej, która odtąd już na zawsze będzie spełniała to bohaterskie zadanie ścierania w proch i w pył wszystkiego, co się rodzi ze zła. W takiej to chwili Bóg postawił przed oczyma ludzkości nadzieję i od tej chwili do dnia dzisiejszego widzimy jej obraz w Marii. Odtąd jest nadzieja niewiasta w słońce przyobleczona księżyc pod Jej stopami, a nad głową korona z 12 gwiazd. I tak jest w całym chrześcijaństwie, bo Ona stała i przy kołysce Boga — Człowieka. Ona stała i tam, gdzie się rodził Kościół — pod Krzyżem. Staje tam, gdzie rodzi się podniesienie i uświęcenie człowieka — w Wieczerniku, wśród mocy jaskrawych, płonących ognistych języków zstępującego Ducha Świętego. I tak w chrześcijaństwie i w życiu każdego chrześcijańskiego narodu staje na progu tej świątyni Bogurodzica Dziewica, Bogiem sławiona Maryja. I idziemy w ślad tej pieśni, idziemy od początku w promieniach Jej światła, idziemy ufni, idziemy spokojni, a idąc zbieramy wspaniałe owoce macierzyństwa Maryjnego, Tej, która jest nam matką, panią i królową.

MOI drodzy, naród, który jest położony na rozdrożach dziejowych, musi mieć silny i potężny nerw wiary, musi umieć oceniać dzieje swoje pod kątem wieczności, musi patrzeć na dzieje ludów na tej ziemi pod kątem wiary w to, że Bóg jest Ojcem narodu, że On ostatecznie rozporządza narodami, że On jest sprawcą ich rozwoju — i On wyznacza im konkretne na tej ziemi zadania.

Ta wiara nadprzyrodzona, wiara w Opatrzność Bożą nad narodami, jak wielkie daje dziś poczucie ciszy i spokoju! I właśnie dlatego umieliśmy w najczarniejszej godzinie, czarnej jak niebo nad płonącą stolicą w dniach powstania, ufać, umieliśmy wierzyć i nie straciliśmy nigdy spokoju. Dzięki tej wierze, którą wyznajemy niemal do ostatniego Polaka — my mamy silne nerwy. Dlatego jesteśmy tacy spokojni w najtrudniejszych chwilach i chociaż dziś dnie nie łatwe i z niepokojem patrzymy, jak tam od zachodu kłębią się znowu czarne chmurzyska — zachowamy spokój godny narodu, który ma żywą wiarę w Opatrzność, który wierzy, że ostatecznie Bóg i Ojciec narodów rządzi narodami.

I tak jak w trosce o nasz byt narodowy, jak w trosce o granice tego bytowania narodowego jesteśmy spokojni, tak też również jesteśmy spokojni w układaniu naszych stosunków wewnętrznych, bo, najmilsi, jak potrzeba nam żywej wiary w Opatrzność, wiary, która daje wewnętrzny spokój, tak też potrzeba nam, najmilsze dzieci, oceny życia i współżycia wewnętrznego, wszystkich stosunków ziemskich — poprzez pryzmat bramy niebios. Bo właśnie takie spojrzenie na sprawy tej ziemi daje nam właściwe podejście do wszystkich problemów, które się gromadzą w tych zmiennych warunkach życia doczesnego. Spojrzenie na ziemię poprzez bramy niebios uczy nas, że przyroda, która jest oddana człowiekowi jako królowi tej ziemi, by mu służyła, ma być coraz bardziej opanowywana, bo do pierwszego człowieka w raju powiedział Bóg: „Czyń sobie ziemię poddaną", albowiem Pańska jest ziemia i okrąg ziemi, na której ludzie mieszkają. To jest przykazaniem tak samo, jak 10 Przykazań Bożych.

Cała teocentryczna i cała katolicka postawa człowieka wobec ziemi winna być taka, że człowiek nie może być obojętny dla spraw tej ziemi, nie może być obojętny na to, czy ona leży odłogiem i wydaje ciernie i osty, czy rodzi ziarno pszeniczne i winnice, dające wino.

To jest związane z moralną postawą człowieka na ziemi, z postawą, którą aprobował sam Syn Człowieczy. On idąc przez tę ziemię jako rzemieślnik i syn rzemieślnika — jak mówi nam Ewangelia o Chrystusie i Jego opiekunie Józefie — idzie na przedzie wszystkich ludzi pracy, jest patronem tej pracy; stąd spojrzenie na ziemię poprzez pryzmat niebios daje nam obraz pracy uszanowanej, uszlachetnionej, podniesionej w etyce katolickiej, na wysoki poziom, obowiązku i środka udoskonalenia chrześcijańskiego, środka współpracy z Ojcem Niebieskim, którego ojcowskie, pracowite dłonie błogosławią każdemu trudzącemu się w pocie czoła człowiekowi tej ziemi. To jest praca uszlachetniona i taka praca rodzi owoce — im większy jest szacunek dla pracy człowieka, tym lepsze rodzi ona owoce. Ale znów na tę obfitość dóbr nagromadzonych musimy spojrzeć przez pryzmat niebios. Bo dobra nie wtedy są bogactwem narodu, gdy są nagromadzone, ale wtedy, gdy jednocześnie są umiejętnie rozprowadzone, tak że każdy z nich pożywa, jak mówi Księga Mojżesza: „Tak więc pożywa owoców ziemi i pracy i wdowa i sierota i przechodzień i pracownik". Życie człowieka bowiem nie może być zamknięte w ciasnym kole samolubstwa społecznego.

Oto, najmilsi, spojrzenie na stosunki i współżycie wewnętrzne między ludźmi poprzez pryzmat bramy niebios. Takie zasady wszczepia narodowi Kościół Katolicki.

NAJMILSZE dzieci, powróciliśmy tutaj i jesteśmy tu nie od wczoraj, jesteśmy tym zmartwychwstałym mocarzem, który był powalony. Ale jak zmartwychwstaje wszelkie ciało pod tchnieniem Boga, tak i my tutaj zmartwychwstaliśmy i jesteśmy. A ponieważ jesteśmy narodem katolickim i skoro jesteśmy tutaj, musimy rządzić się duchem katolickim, to znaczy, musimy tu trwać i czynić tę ziemię poddaną narodowi naszemu, — poddaną, bowiem przykazanie, które otrzymał pierwszy człowiek w raju, obowiązuje wszystkie dzieci Boże, my zaś jesteśmy dziećmi Bożymi i musimy ten nakaz od Boga dany do końca na ziemi wypełnić.

A więc: „Czyńcie sobie ziemię poddaną"! Mamy więc trwać, a trwając mamy budować, to znaczy, mamy wytężyć ramiona do usilnej pracy. Niech te wszystkie gruzy, które widziałem wędrując po mieście dziś rano, zakwitną nowym życiem i niech nasz wysiłek wyczaruje nowe, lepsze życie, lepszą przyszłość. Budując, macie wierzyć, wierzyć w dziejowe zadania naszego narodu na tej ziemi.

Jesteśmy tutaj i musimy pamiętać, że skoro Bóg nas tu sprowadził, to żąda od nas wypełnienia zadań, które nam stawia. Rozumiemy dobrze doniosłość tych zadań, wczuwamy się w moment dziejowy, w którym tu stoimy i przyłożywszy ręki do pługa tu pracujemy.

Mamy więc budować. Mamy budować, trwać i wierzyć, a trwając, budując i wierząc, mamy miłować ziemię i ludzi, którzy na tej ziemi wspólnie z nami powołani są do spełnienia zadań dziejowych, które Ojciec narodów wyznaczył w tej chwili naszemu narodowi.

Takie są nadzieje narodu polskiego, takie są nadzieje Kościoła polskiego, Kościoła Katolickiego. Kościół jest tutaj z narodem i można powiedzieć, że chociaż nieraz mamy różny światopogląd, to na tym odcinku różnic nie ma. Tak jak w tej chwili stoimy tu, na tej ambonie, tak przed rokiem staliśmy w Watykanie przed Namiestnikiem Chrystusowym, Ojcem Świętym, któremu powiedzieliśmy: „Zagadnienie polskie — to nie jest dla nas zagadnienie czy tu mamy trwać — w tej kwestii zgodny jest Episkopat Polski, cały Kościół Katolicki w Polsce i społeczeństwo polskie, i Rząd Rzeczypospolitej Polskiej". Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. To jest nasze zadanie, bośmy wrócili do swojego, a dziś gdyśmy wrócili, to czytamy jeszcze na ścianach świątyń odsłoniętych spod tynku naszą przeszłość dziejową, która przemawiała do nas kamieniami, gdy zabrakło innej mowy. Dziś odczytujemy pomniki przeszłości naszej pracy. I dlatego jesteśmy tutaj i wierzymy, że Opatrzność Boża nas tu przywiodła, płacąc nam hojnie za wszystkie krzywdy, które naród nasz ucierpiał w czasie ostatniej wojny. Jest sprawiedliwość Boża między narodami; narody okrutne i krwawe prędzej czy później zapłacić muszą sprawiedliwą cenę narodom, które skrzywdziły. Albowiem skoro krew Abla wołała z ziemi do Pana Zastępów, tak iż Ojciec Niebieski upomniał się o krew wylaną, to cóż dopiero mówić o tak obficie wylanej krwi narodu polskiego! Bóg sprawiedliwy musiał spłacić dług dziejowy narodowi polskiemu za krzywdy wyrządzone mu w czasie ostatniego straszliwego kataklizmu dziejowego.

I to jest zarazem ostrzeżenie na przyszłość — to jest ta dziejowa restytucja, to jest ostrzeżenie dla innych narodów, by nie sięgały po cudze życie, bo to jest życie dzieci Bożych i Bóg upomni się o nie, ponieważ jest Bogiem żywych, a nie umarłych. Za tą wiarą przyszedł tutaj wraz z narodem polskim i Kościół Katolicki, jest tutaj ożywczym duchem i natchnieniem, bo wszczepia wiarę w sprawiedliwość Bożą nad narodami, wszczepia miłość do tej ziemi, bo uszlachetnia pracę z takim trudem prowadzoną, bo on budzi sumienie, przez które nasze współżycie ma w sobie więcej pokoju i miłości, a wyniki naszej pracy są bardziej owocne. Kościół jest więc tutaj razem z narodem.

DZIŚ wspólnie z Rządcą tej Diecezji otwieraliśmy wystawę odbudowy kościołów na terenie Archidiecezji Wrocławskiej. Karty statystyczne i wykresy mają tu swą wymowę. To jest wymowa tej przedziwnej wiary narodu, który przyłożył kilof do wielkich rumowisk i mocą swojej miłości do tej ziemi wyczarował nowe życie. W kartach i wykresach odbudowy Katedry widzimy tę tężyznę ducha narodowego, widzimy tę przedziwną mądrość, tę ufność, tę wiarę, ten zmysł piękna, które nas wszystkich tak bardzo tutaj urzekają i tę sumienność pracy, którą znać w każdym kamieniu i na każdym z wiernością odtworzonym fryzie.

Katedra została odnowiona i My przystąpiliśmy do odnowienia tej prześwietnej Kapituły Wrocławskiej, przekonani, że tak jak matka ma otwarte ramiona na przyjęcie swych synów, tak oto dziś wprowadziliśmy ich tu przyozdobiwszy w oznaki, które Kościół ma dla swoich synów i posadziliśmy na miejscach widocznych, aby prześwietność ich jaśniała przed ludem i aby wspólnie chwalili Ojca naszego Wszechmocnego, który jest w Niebiesiech. Kościół ustanawia dla każdej katedry sługi swoje i po to są Kapituły Katedralne i po to jest Kapituła Wrocławska, której od dawna nie było; czas najwyższy, aby przyszła. Dlatego działając na mocy szczególnych upoważnień i władzy udzielonej Nam przez Ojca Świętego odnowiliśmy tu, w Katedrze Wrocławskiej, tę Kapitułę prześwietną i wprowadziliśmy do niej synów polskiej ziemi. Ufamy, że wsparci Łaską Bożą staną zwartym szeregiem wokół Rządcy tej diecezji i prowadzić będą dzieło, do którego są powołani.

Jesteście, najmilsi moi bracia, w kapłaństwie posadzeni na miejscach wysokich, bo nikt nie zapala pochodni po to, aby ją chować pod korcem, niechajże więc świeci światłość Wasza. Życzę Wam, abyście byli w jedności, o którą Chrystus prosił w Wieczerniku. Życzę Wam też, abyście dawali świadectwo, to wspaniałe świadectwo prawdzie, którą Piotr wyznał przed Chrystusem: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga Żywego" — abyście dawali świadectwo Chrystusowi i niespożytym zasługom Kościoła Katolickiego w dziejach ludzkości i w dziejach tego szlachetnego narodu polskiego, zawsze wiernego Bogu w Kościele.

To są nasze wobec Was, Prześwietna Kapituło Wrocławska, życzenia.

A TERAZ kończę. Za chwilę wyjdziemy z tej Katedry, której brama szeroka otwarta i znowu przechodzić będziemy tu u stóp naszej najlepszej Matki, która ze swoim przedziwnym spokojem czuwa nad naszą pracą, czuwa ze swego cokołu nad tym placem i Katedrą. A gdy będziemy tam szli, to z dziecięcą prostotą i ufnością skadać będziemy prośby do tej Oblubienicy Ducha Świętego, która ma umocnić to, co wewnątrz tej świątyni dokonane zostało. Będziemy do Niej wołać najstarszą polską pieśnią maryjną: „Bogurodzica, Dziewica, Bogiem sławiona Maryja, u Twego Syna Gospodyna. Matko zwolena Maryja, ziści nam, spuści nam, Kyrie Eleison. Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze, słysz modlitwę, jąż zanosimy, to dać raczy, o co prosimy, a na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt, Kyrie Eleison. Amen. Amen. Amen".

W intencji Ojca Świętego, w intencji Ojczyzny naszej, w szczególny sposób w intencji Archidiecezji Wrocławskiej i jej odnowionej dziś Kapituły prosimy zmówić Ojcze nasz, Zdrowaś Mario i Chwała Ojcu.

(Podług katolickiej prasy krajowej)

ŻAGWIE OGNIA BOŻEGO

Najpiękniejszy port w Europie ze wspaniałymi alejami palm i akacyj, ze średniowiecznymi pałacami i pysznymi budowlami nowożytnymi przystroił się na wielki zjazd międzynarodowy dla uczczenia Chrystusa. Miasto prawie 22 wieki liczące, otoczone z zachodu uroczymi wzgórzami, z których najwyższym jest Tibidabo, miasto, którego ziemią w czasie wojny domowej 1936-1939 obficie została zroszona krwią męczenników za wiarę, kościołami swymi świadczy o wierze wielu pokoleń.

Morze i ląd przystroiły się na przyjęcie Tego, o którym śpiewał Psalmista: „W ręce Jego wszystkie krańce ziemi i gór wysokości Jego są; Jego jest morze i On je uczynił i lądy utworzyły ręce Jego".

Zewnętrzny przepych, okazałość i bogactwo, to tylko symbole wewnętrznego przepychu, okazałości i bogactwa dusz ludzkich, skąpanych w promieniach i morzu łaski Ducha Świętego, dusz, które przygotowały się na przyjście Eucharystycznego Jezusa, na ucztę, do której zasiedli wierni wielu narodów świata, choć serce ich było jedno i jedna była dusza. Wymownym tego wyrazem były słowa kardynała Fringsa, arcybiskupa Kolonii, który zaniósłszy błagalne wołanie do Boga o położenie kresu ciężkiemu doświadczeniu Kościoła w krajach okupowanych przez komunistów, prosił wszystkie narody o zapomnienie, w duchu miłości chrześcijańskiej, błędów, jakich dopuścił się naród niemiecki.

Ta jedność serc i dusz ludzkich na Kongresie w Barcelonie, możliwa jedynie przy Stole Pańskim i w zjednoczeniu ze Zbawicielem, podkreślona została przez radio hiszpańskie: „Ani kolor skóry, ani różność rytów, ani odrębność różnych języków, ani tłumy obcych, ani właściwości indywidualnych osób, nic z tego wszystkiego nie potrafiło sprawić, abyśmy poczuli się podzieleni i nie potrafiło rozbić pięknego zespolenia dusz w jedności świata katolickiego w chwale Kościoła". A Papież w swym przemówieniu przez radio do uczestników Kongresu i zarazem całego świata wskazał Kongres całemu światu jako przykład: widok tylu narodów, tylu ras, tylu rytów zjednoczonych na Kongresie jako jedno serce i jedna dusza winien umożliwić światu zrozumienie, gdzie jest źródło prawdziwego pokoju osobistego, rodzinnego, społecznego i międzynarodowego.

* * *

Setki tysięcy ludzi w ciągu kilku dni śpieszyły na Msze św. pontyfikalne, godziny święte, wigilie nocne; chłonęły w swe dusze głębokie myśli kazań i przemówień pierwszorzędnych kaznodziejów i mówców; u stóp Jezusowych zanosiły modły o pokój w duszach, rodzinach i społeczeństwach, za Kościół Milczenia w krajach prześladowań, o pojednanie między narodami.

W modłach o pokój przewodniczył Kardynał Legat i sam Ojciec święty. „Wielka jest burza, Panie, — wołał Legat Papieski — i głośny grzmot. Lecz Ty wyciągnij prawicę Twego Majestatu; rozkaż wiatrom i morzu, a świat wprawiony będzie w zdumienie w obliczu nowego ogromnego cudu: stało się uciszenie wielkie! Uciszenie wielkie ze słońcem wasz im i słońcem Hiszpanii, którym jest Święta Eucharystia"

Papież, jako Ojciec całego chrześcijaństwa i dbający także o te owce, które nie są z tej owczarni, łącząc, jak mówił, wszystkie głosy uczestników Kongresu, wszystkie najgłębsze pragnienia ich serc, wszystkie troski ich dusz, skoncentrował je w jednym wielkim krzyku o pokój:

„O Jezu najmiłościwszy, ukryty pod nikłą zasłoną sakramentalną, Baranku Boży, stale ofiarowywany za pokój świata! Usłysz wreszcie gorące modły twojego Kościoła, który przez usta niegodnego twego Namiestnika błaga Ciebie o ogień miłości w świecie, ażeby rozgorzały nią jedność i zgoda, a w ich cieple rozkwitły na naszej suchej i spustoszonej ziemi białe lilie pokoju. Namaszczenie twej łaski — ukryty balsam i najsłodsze lekarstwo — niech uzdrowi w duszach ludzi rany zadane przez nienawiść, ażeby wszyscy poczuli się braćmi, synami tego samego Ojca, którzy przy tym samym stole żywią się Niebiańskim Pokarmem".

Tak w imieniu wszystkich zebranych prosił Papież o ogień miłości, ten ogień, o którym mówił Zbawiciel: „Ogień przyszedłem rzucić na ziemi, a czegóż chcę, jeno aby zapłonął". Tym ogniem rozgorzać miały i na pewno rozgorzały serca uczestników Kongresu, na których Papież w swym przemówieniu włożył obowiązek, by rozgrzani duchem jedności Kongresu stali się płomiennymi żagwiami, które po całym świecie rozniosą ten święty ogień Boży.

Wł. Jelonek

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Śmierć kardynała Faulhabera. Zmarły 12 czerwca 83-letni kardynał Michał Faulhaber, arcybiskup Monachium, był jednym z czołowych przedstawicieli Episkopatu niemieckiego w walce z nazizmem. Wśród zasług zmarłego kardynała na tym polu należy wymienić pracę o Starym Testamencie, chrześcijaństwie i niemieckości; w pracy tej wykazał nierozerwalną łączność między Starym a Nowym Testamentem i podkreślił fakt, że kto obala Stary Testament, obala równocześnie także i Nowy. Sam Chrystus Pan wyraźnie stwierdził tę łączność obu Testamentów, bo powiedział: „Z żydów jest zbawienie" (Jan 4, 22) i „Nie mniemajcie, żem przyszedł rozwiązywać Zakon i proroków: nie przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam: Dopóki nie przeminą niebo i ziemia, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Zakonie, aż się wszystko wypełni" (Mat. 5, 17-18).

Pielgrzymki żołnierzy francuskich. Corocznie w czerwcu odbywa się pielgrzymka oficerów i szeregowych służby czynnej armii francuskiej wraz z rodzinami do Lourdes. W pielgrzymce biorą udział także rodziny jeńców wojennych i wdowy i sieroty po poległych.

Apel Międzynarodowej Unii Kobiet Katolickich. Międzynarodowa Unia Kobiet Katolickich wystosowała do sekretariatu Narodów Zjednoczonych apel, w którym domaga się „skutecznych środków przeciwko ustawicznemu gwałceniu Boskich i ludzkich praw w krajach opanowanych przez Sowiety". Apel wyraża głęboką sympatię dla dzieci i matek pod rządami komunistycznymi.

W obronie uchodźców. Dyrektor katolickiego „Reliefu" amerykańskiego, ks. prałat Edward Swanstrom, zeznawał w imieniu Episkopatu amerykańskiego przed kongresową komisją prawniczą w sprawie dopuszczenia do Stanów Zjednoczonych trzystu tysięcy nowych uchodźców. Corocznie około sto tysięcy ludzi uchodzi z krajów Kościoła Milczenia na Zachód. Katolicki „Relief" amerykański, który wydał dotychczas 175 milionów dolarów na ratowanie nieszczęśliwych, będzie w dalszym ciągu zajmował się osiedlaniem uchodźców, którzy „poznawszy niewolę gotowi są walczyć i cierpieć dla utrzymania wolności".

Terror religijny w Bułgarii. Celem uniemożliwienia wiernym brania udziału w nabożeństwach komuniści bułgarscy stosują specjalny terror przy pomocy dzieci szkolnych. Każdego mianowicie poniedziałku komunistyczny nauczyciel w szkole powszechnej wypytuje dzieci, czy ktokolwiek z rodziny brał udział w nabożeństwie niedzielnym. Dzieci, które przyznają się, że ich rodzice byli na Mszy św., stawiane są przed tablicą i ośmieszane wobec całej klasy, a ich rodzice nazywani są „wrogami ludu".

Innym sposobem wywierania terroru jest wypisywanie nazwisk wchodzących do kościoła ludzi na wielkiej czarnej tablicy, umieszczonej na drzwiach kościelnych. Tablica taka nosi napis: „wrogowie ludu". Często też zdarza się, że policja zabiera kapłana, mającego odprawić nabożeństwo, na przesłuchy do komisariatu.

Kościelny dekret bułgarski. Komunistyczny reżym bułgarski ogłosił specjalną ustawę podporządkowującą całkowicie państwu wszystkie wyznania religijne w kraju. W myśl tej ustawy duchownymi mogą być jedynie obywatele bułgarscy. Na utrzymywanie jakichkolwiek stosunków religijnych z zagranicą potrzebne jest wyraźne pozwolenie władz państwowych, które pośredniczą w kontaktach.

Gospodarka pieniężna gmin wyznaniowych zostaje poddana ścisłej kontroli państwa, żadne z wyznań nie może prowadzić własnych szpitali, ani żadnych innych instytucji o charakterze społecznym, istniejące zaś przechodzą na własność państwa. Poszczególne kościoły mogą posiadać tylko takie szkoły, które mają na celu wyłącznie kształcenie kandydatów na przyszłych duchownych pod warunkiem, że państwo udzieli wyraźnego na to pozwolenia i kontrolować będzie programy naukowe tych szkół.

Maria Winowska w Londynie

W dniach 12 i 13 lipca odbędzie się week-end dyskusyjny w Cenacle Convent (33, West Heath Rd., N. W. 3, Hampstead) w Londynie na temat „Współczesna myśl religijna i kierunki życia religijnego".

Tematy poszczególnych referatów, które wygłosi p. Maria Winowska, są następujące: 1. „Dzisiejsza myśl religijna", 2. „Jakiego typu religijności wymaga dzisiejsza rzeczywistość", 3. „Główne nurty życia religijnego w Kościele". Zgłoszenia udziału prosimy zawczasu kierować do Sekretariatu „Veritas" (tel. FRE 2551).

JERZY DOŁĘGA KOWALEWSKI

RYCERZ Z BARU

— Za podniesienie pochylonych głów w promienność słońca.

M. Konopnicka.

Z Baru — rzeczywiście — był. Błąka mi się po głowie, że w długim spisie „miejsc postoju", przesiedleń, wędrówek, zwykle niedobrowolnych, księdza Mariana Karaszewicz-Tokarzewskiego figurowało przejściowo i duszpasterzowanie w Barze. Zresztą potomek starego wołyńskiego rodu, pochodził z tamtej okolicy.

Ma Kościół katolicki, co tu mówić, swoje „żołnierskie" oblicze: Ecclesia Militans. Z tego się wywodzi uparta, nieraz połączona z ofiarą życia działalność misyjna, od krzyża na czele walczących oddziałów poczynając a kończąc na pokornym przyjęciu policzka przez księdza Baudouina: „to dla mnie, a cóż dla moich biednych?"

Ludzi takich jak Tokarzewski, dla których sutanna stanowiła właściwie odmianę rycerskiej zbroi, ta strona działalności Kościoła musiała szczególnie pociągać. Słusznego wzrostu, barczysty, wyprostowany, o zdecydowanych, jeśli nie wręcz gwałtownych ruchach, miał w obliczu, w postawie coś z rzymskiego legionisty z czasów wielkości Rzymu, jeszcze nie zamienionego w bandę uwiędłych petroniuszów. W tym co mówił, a mówcą był urodzonym, brzmiały echa surmy bojowej. Nadawałby się doskonale do roli ks. Kamińskiego z jego werblem: "... Gdzieżeś jest, pułkowniku Wołodyjowski?"

Nie rozumiał kompromisu, ustępstwa choćby na chwilę na rzecz silniejszego. Nie posiadał, zadzierzysty kresowy szlachcic polski, nic zaiste z „mądrości węża".

Mógłżeż taki to ksiądz długo się utrzymać na parafii wołyńskiej w pierwszym dziesiątku lat naszego stulecia, gdy rząd carski czynił wszystko, aby „uprawosławnić" polski Wołyń i Podole i wybić z głowy miejscowej ludności wszelkie historyczne wspomnienia węzłów niegdyś łączących z Rzplitą? Pozwoliłem sobie kiedyś zażartować, że gdyby nawet nie był duchownym „wrogiego wyznania", to za samą swoją sarmacko-rzymską fizys musiałby być zesłanym „w administratiwnom poriadkie."

Zamknięty do klasztoru, starannie pilnowany, potrafił jednak wymknąć się i sobie wiadomymi sposobami zorganizować pielgrzymkę wołyńskich chłopów do... Częstochowy. Przybyli chybaż maleńkimi grupami i dopiero na miejscu przed Bramą Lubomirskich okazało się tego — mrowie. Tokarzewski wygrzmiał im odpowiednie kazanie, zakończywszy retorycznym zwrotem: „Czy gotowi jesteście polec tu jak jeden u stóp Przenajświętszej Panienki?" Chłopi swą gotowość gromko potwierdzili, no a ksiądz? Ksiądz powędrował wprost stamtąd pod eskortą żandarmów nad daleką rosyjską Wołgę.

Tam go poznałem około roku 1910. Nie doszuka się pewno nasz „późny wnuk" już i śladu jednego z ciekawszych odcinków popowstaniowych dziejów — polskiego pionerstwa w Rosji właściwej. Trwało okrągło pół wieku, boć do wybuchu pierwszej wojny światowej. Któż by dziś mógł o tym powiedzieć? Kilku niedobitków na uchodźstwie? Nawet gdybyśmy się tym zajęli, nie znaleźlibyśmy czytelników. A szkoda. Bo pokojowa penetracja przez Polaków (i Niemców) Rosji, nie buńczuczna, nie wojownicza, stanowić będzie jeszcze p i e ś ń p r z y s z ł o ś c i, po zniknięciu bolszewików, naturalnie. Tworzyła ona dla nas nie tylko źródło bogacenia się, ale i wpływała na kształtowanie się specjalnego typu Polaka, z gatunku bardziej sokołów, niż gilów i zięb.

Udział księży, z reguły zesłańców politycznych, w tym — określmy bez przesady — m a s o w y m (bo i wojsko i urzędy i handel i industria) ruchu był bardzo znaczny. Nie czas i nie miejsce o tym wspominać, ale duchowieństwo polskie miało swój samodzielny pogląd na problem połączenia kościołów, pogląd oparty na znajomości ludzi i terenu, niemniej nie zawsze pokrywający się ze stanowiskiem Stolicy Apostolskiej. Forma u n i i nie znajdowała, o ile mi wiadomo, zbyt wielu entuzjastów w naszym klerze, był on natomiast raczej zwolennikiem action directe, czyli katolicyzmu wprost. Niczym niezmożona, potrząsająca pokatorżnymi z r. 1863 kajdanami Ecclesia Militans spędzała sen z oczu gubernatorom prowincji powołżskich i syberyjskich. Prawdziwy smok legendarny, któremu zamiast jednej odciętej głowy odrastało dwie. Nie dbał taki ksiądz o grosz, był dziś tu, jutro tam, w paszport nikomu nie zaglądał, po cichu ochrzcił, bezszumnie pogrzebał i nagle, widzisz go, kościół gotycki w takim czy innym Rybińsku wystawił.

Tokarzewski do tego „ślizgu" się nie nadawał. Żył dalej swoim Wołyniem (kluski z serem musiały być co dzień), a zresztą był za wybuchowy, za bezpośredni, aby móc działać na długiej fali warunków tamecznych.

Wkład jego był inny, nie mniej cenny, szczególnie dla nas, młodzieży porodzonej i wychowanej w Rosji. Kiedy mu się przyznałem, że poza Puszkinem i Błokiem dla mnie poezji nie ma, powiedział: „To ty mi, synku brabancki, za dwa tygodnie wygłosisz odczyt o poezji polskiej". Spróbowałbym nie wygłosić! W sutérynie kamienicy zwanej kościołem w Jarosławlu nad Wołgą, gadając do tych usmolonych robociarzy, kolejarzy i subiektów, poczułem się nagle spadkobiercą wielkiego dziedzictwa, nie umarłej nigdy Sławy.

Dziwakowaty, sobiepański i nie za bardzo wykształcony ksiądz ten przyniósł ze sobą nowy, świeży, nieznany na tym terenie powiew. Szedł za nim wiatr od „Dzikich Pól", jeszcze nie polskich a już nie rosyjskich. Był z „no-man's land", ze szkoły „ukrainnej", z poezji Malczewskich i Goszczyńskich, z narracji Rzewuskich, kazań Semenenki czy Jándołowicza. Parantela z dawnych Barem — oczywista, chociaż ani on sam ani my, jego ciągli goście i słuchacze, tegośmy wtedy nie dostrzegli.

Był artystą. Artystą słowa, jako gawędziarz niezrównany i kaznodzieja porywający.

Jego kazanie w przededniu pierwszej wojny światowej w skromnym jarosławlskim kościółku na temat „Panie, pozostań z nami, bo oto ma się już ku wieczorowi" jest dla mnie dotąd najwyższym wyrazem patetyczności zdarzeń, które miały potem nastąpić. Słuchałem go stojąc w szeregu, ze „Złotym Ołtarzykiem" w zgrubiałych, nawykłych już do trenzli rękach.

W oglądanym retrospektywnie obrazie Rosji 1917 roku wybija mi się kilka cech, może i zasługujących na podkreślenie. Przedrewolucyjny paraliż woli sfery rządzącej, o którym mówi St. Grabski w swym znakomitym studium „O rewolucji", nie stanowi nic wyjątkowego. Zauważymy ten objaw wszędzie w historii w okresie poprzedzającym czy p o w o d u j ą c y m przewrót. Natomiast nigdzie tak jasno, jak w Rosji wtedy nie bił w oczy cały mechanizm rozkładu władzy i — vacuum, jakie na dłuższy czas powstało. Armia rozlazła się, a zaskoczony wypadkami naród nie wiedział, jak użyć spadłej mu z nieba „wolności". Zanim się bolszewicy ugruntowali, dosłownie „włast' waliałas' na ulicie" i właściwie nikt nie usiłował, czy nie śmiał jej z tego błota ulicznego podnieść.

W ogromnym południowym mieście fabrycznym, gdzie mnie rewolucja zastała (n.b. razem z o wiele młodszym, słynnym dziś Krawczenko, który daje zbliżony do mojego opis wypadków) istniały obok siebie: sfera „wpływu" sowieta sołdackich deputatów (dom gubernatora), anarchistów (klub „angielski" o 300 kroków w bok), szczątków białego oficerstwa (cała górna część miasta). Dodajmy do tego „bezpartyjnych" samozwańczych grabieżców, których wszędzie było pełno, a będziemy mieli zarys chaosu, jaki panował. Potem tamże przewinęli się: Niemcy, hetmanowcy, petlurowcy, machnowcy, ataman Szkuro i Bóg wie kto jeszcze, ludzie właściwie bez aspiracji do rządzenia na dłuższy dystans, a ot tak sobie „poguliat' da ujt'ti".

Nocą wracało się z tegoż klubu angielskiego (nasza resursa obywatelska albo „klub szlachecki"), po dobrej kolacji i bridge'u w obliczu tamże rezydujących, uzbrojonych po nos anarchistów „towarzysza Jurija". Można było nawet z nimi w eleganckim westibiulu powiecować, podyskutować, co czyniłem nieraz. Otóż wracało się, w mundurze, w szynelu, pas zapięty, szabla i rewolwer przy boku. W ulicy — patrol, kto go wie czyj. „Pokaži propusk". Wycelowane trzy rewolwery: dwa ich we mnie i mój w nich. Chodźmy pod latarnię. Tam na przyzwoitej odległości od siebie pokazuje się w lewej ręce (prawa trzyma rewolwer) jakiś tam „dokument", może nim być bilet klubowy z pieczęcią. „Prochodi" — cofamy się od siebie.

Za dnia przewalało się to-to, uzbrojoną, rozchełstaną, bezosobową masą ulicami miasta, tramwajami. Wagony kolejowe oblepione gronami ludzi, wiszących na stopniach, wczepionych jeden w drugiego...

Wszelkie usiłowania zorganizowania nietrudnego wtedy oporu, koncentracji sił białego oficerstwa, tak licznego w tym mieście, rozbijały się o bezwolę i fatalizm Rosjan. Gdy terror wybuchł nie na żarty, szli jak barany na rzeź.

Trochę inaczej poczynali sobie Polacy i tu mieliśmy niejaki dowód odmienności psychik obu narodów. Udział Polaków w guerilli, zresztą zupełnie bezideowej, „aby żyć", był niemały. Wynajmowali się po prostu za dobre pieniądze do obrony całych dzielnic przed grabieżą. W jednej takiej partii naliczyłem Polaków ze 60 procent, resztę stanowili oficerowie i junkrowie gruzińskiego, tatarskiego lub niemieckiego pochodzenia. Ta właśnie partia Gruzina rotmistrza Luri wystrzelała kiedyś w nocy oddział bandytów-anarchistów pod dowództwem samego marynarza Antonowa, brata bolszewickiego „gławkowiercha". Koszt własny zresztą był niemały.

Tak to wielu z nas startowało do tradycyjnego „borem lasem", przedzierania się z bronią w ręku na Zachód, za wszelką cenę na Zachód, ku swoim. Losy Rosji przestały nas obchodzić.

* * *

Rewolucja 1917 roku załapała Tokarzewskiego na północy, w tymże Jarosławlu nad Wołgą, gdzie znajdował się ostatnio w towarzystwie deportowanego tam metropolity Szeptyckiego. Nie udało się nawiązać z nim komunikacji i wszystko, co o tym okresie wiem, pochodzi z późniejszych jego opowiadań.

Od razu już wiosną postanowił czym prędzej wracać do Kraju, do rodziny, o losy której był niespokojny. A tu depesza od arcybiskupa Cieplaka z Petersburga. Zawierała żądanie, aby w „imię Chrystusa' niezwłocznie udał się do... Turkiestanu objąć administrację diecezji po ks. Pranajtysie.

Krótkie są żołnierskie raporty, jak i bezgraniczne żołnierskie posłuszeństwo. Wyjmijmy więc tylko ten fragment podróży od Saratowa, dokąd ksiądz dojechał w tłumie, na stojąco, bez rzeczy i dokumentów. Z tych ostatnich miał jedyny — zaświadczenie po rosyjsku arcybiskupa, że jest „uprawlajuszczim diełami turkiestanskoj eparchii". W Saratowie nadarzył się Polak-kolejowiec, który ulokował straszliwie zmęczonego człowieka w sutannie w pustym pociągu na zapasowym torze. Zapewnił, że za 24 godziny pociąg ten ma ruszyć w pożądanym kierunku.

Wgramoliwszy się na górną ławkę, ksiądz spał więcej, niż 24 godzin. Kiedy się obudził, pociąg był w ruchu, a w wagonie pełno ludzi, gnających z frontu dezerterów, pijanych, uzbrojonych, rozgadanych.

— A opowiedz no, Iwanow, jakżeś temu generałowi kiszki z brzucha wypuścił...

Iwanow obrazowo opowiada, raz i raz jeszcze, na żądanie rozbawionej publiczności. Ale widać, że opowieść jest przeznaczona i dla tego tam, obcego, na górnej ławce.

— Dobrze by tak zrobić i jemu, „germańskiemu szpionowi"...

Któryś z bagnetem w ręku zajrzał na górę. Czas na decezję zmalał do sekund. Ksiądz poruszył się, siadł zgięty na swoim legowisku. Magnetyzował wzrokiem, stojącego tuż Iwanowa.

— Powiadasz, że ja szpieg. A kto ty sam? Znamy się nie od dziś. Naprawdę nazywasz się nie Iwanow a — Johann, Johann F a b e r (pierwsze jakie przyszło do głowy nazwisko niemieckie, w tym wypadku popularnego fabrykanta ołówków). Pamiętasz przed wojną na Wołyniu, przychodziłeś do mnie w Annopolu kupować krowę. Byłeś tam osadnikiem niemieckim, i mówiłeś tylko po niemiecku... To jego trzeba oddać do komendantury!

Role się zmieniły. Oszołomiony Iwanow zająkał bezradnie.

— Co on gada, bratcy?... Ja naprawdę jestem Iwanow, z Tulskiej gubernii. Fiodor mi na imię... Nigdy czymś takim się nie zajmowałem.

Tragedia lubi w życiu sąsiadować z farsą. Jeszcze parę minut tego spierania się, hałasu, podzielonych zdań towarzystwa, a Iwanow dał za wygraną. Pociąg właśnie zwolnił biegu przed stacją a on, jednym rzutem, otworzył drzwi przedziału i wyskoczył na tor.

— Masz tobie. Okazało się naprawdę Johann Faber. A my myśleli, że on z Tulskiej gubernii.

Byli to zabójcy dowódcy frontu, generała Duchonina.

* * *

— Jak się masz, synku brabancki?... Okazuje się, co ma wisieć nie utonie...

Spod pułkownikowskiej rogatywki patrzyły te same sokole oczy. Trochę zmarszczek na twarzy i bardziej zwarte, mocne szczęki akcentowały, że życie nie było łatwe.

Działo się to latem 1919 na ulicy warszawskiej, ale ja ten czas pamiętam wciąż jako wiosnę, wiosnę serc. Owijały się „rozmarynem", współdźwięczały z taktem chłopców w mundurach.

Nie mieliśmy następnie zbyt wiele czasu dla siebie. Spotykaliśmy się przelotnie. On był kapelanem Piłsudskiego, wówczas naczelnika państwa. Ścisłe nasze stosunki zostały odnowione dopiero w roku 1923, gdy po długim pobycie na prowincji wróciłem do Warszawy, znalazłszy się od razu w wirze spraw dość ciekawych, które tu tylko nawiasowo mogą być wspomniane.

Mieszkał, jako kapelan prezydenta Wojciechowskiego, w pałacyku t.zw. Myśliwskim za Agrykolą. Szło się doń w dół koło pomnika Sobieskiego w kierunku koszar pułku szwoleżerów, potem w prawo, aby przerzedzonym parkiem dostać się do jego kwatery, której nie dzielił z nikim. Składała się bodaj z trzech pokoi, pięknie ozdobionych freskami Canaletta. Do pałacu belwederskiego było kilkaset kroków.

Dwa lata poprzedzające przewrót majowy upłynęły nam na częstej wymianie poglądów i obserwacji. Bywałem u niego kilka razu na tydzień i on wprowadził nas, moją ś.p. żonę i mnie, na przyjęcia czwartkowe do prezydentostwa Wojciechowskich.

Miał Tokarzewski, jak każdy, swoją słabość. Stanowiło nią zamiłowanie do pompy, aparatu, włączając w to godności i ordery. Pamiętam, w dniu jego imienin posłałem swego małego syna ze służącą, rankiem, aby mu zanieśli upieczony przez żonę placek. Sam zjawiłem się w godzinkę potem. Zastałem obu bawiących się na dywanie, poobwieszanych wszelkimi dekoracjami, jakie były do dyspozycji.

Albo taka scenka. Ksiądz w pełnej gali, w płaszczu fioletowym — farioli, wyszedłszy z Zamku, czeka na tramwaj do Belwederu (co za okazja być podziwianym...). Podskakuje jakiś stary Żyd: — Przepraszam, czy nie pan kardynał? (Ks. Kakowski słynął ze swego olbrzymiego wzrostu). — Może i kardynał — warknął ksiądz, wskakując do tramwaju. Ale Żydek wyprzedził go i pośpieszył zaanonsować publiczności w wozie: — Proszę państwa wstać, pan kardynał wszedł!

Zrobiło się zamieszanie. Jedni wstali, drudzy pozostali na swoich miejscach. Wściekły Tokarzewski przebiegł na przednią platformę, ale i tam Żyd go znalazł. — Ja wiem, kto ksiądz jest. Od Piłsudskiego. Ja tu mam podanie do niego w mojej sprawie. Proszę wziąć... Może go tam i ksiądz sklął dodatkowo, ale podanie na pewno wziął. I doręczył.

* * *

Pewnego wieczoru jesienią 1925 maszerowałem, grzęznąc w osypisku zgniłych liści, ku pałacykowi Myśliwickiemu. Pierwsze moje słowa do księdza, gdy wszedłem, były: — wie ksiądz, wyobraziłem sobie, jak w takiej ośmie pójdą osaczać Belweder uzbrojeni n a s i żołnierze. Zapewnić mogę, że nie myślałem wtedy o barykowej z modnego „Przedwiośnia" rewolcie, a o czymś innym, co rzeczywiście w pół roku potem się stało.

Piłsudski, wzorem wszystkich fenomenów ludzkości, skupiał w sobie, sublimował cechy, często nieuświadomione, swojej rasy i — klasy. Wyzwolić je, uruchomić w skali narodowej nie starczyło mu już ani sił, ani czasu. Trzeba by było i potrafić i zdążyć wychować przynajmniej jedno pokolenie. I do tego i w ogóle do wszystkiego odczuwał brak „chóru", nie chwalców i „popuńczików", tych miał poddostatkiem, ale rozumnych i odpowiedzialnych wykonawców. I wreszcie, ze względu na konieczności, musiał zajmować się wieloma sprawami, o których nie miał pojęcia albo odczuwał do nich wstręt. Gdyby rzecz działa się w filmie *au ralenti* wieków ubiegłych, przeżylibyśmy niewątpliwie, dzięki niemu, tak nam potrzebny okres oświeconego mniej więcej absolutyzmu.

W rok czy dwa po przewrocie majowym ośmielił się kiedyś ks. Tokarzewski zapytać marszałka, dlaczego, dokonawszy zamachu, nie wziął pełni władzy w swoje ręce, nie ogłosił się dyktatorem.

— A ksiądz wie, co to jest dyktator?

— ?

— Dyktator w Warszawie musi mieć w Wilnie, Poznaniu, Krakowie, Lwowie, Katowicach swoich „poddyktatorów". Ci znowu swoich, w każdym powiatowym mieście, osadzie, gminie...

Zmarszczenie brwi i warknięcie:

— Skąd miałem wziąć takich ludzi...

Parafialny, patriarchalny arystokratyzm i, przyznajmy się, i m p e r i a l i z m, stanowiąc najgłębsze podkłady duszy polskiej, były tymi niewidzialnymi węzłami, które łączyły naród z Piłsudskim.

I Tokarzewski w tym względzie wyjątku nie stanowił, choć nie należał do żadnej „brygady" i mienił się z oburzenia, gdy potem ludzie tego kierunku popełniali jedne za drugim występne głupstwa. Niemniej w owym czasie, na pół roku przed zamachem, rozumieliśmy, że klasyczny parlamentaryzm pasował u nas, jak róża do kożucha i że sprawy idą tak źle, że tylko cesarskie cięcie może coś uratować. Stąd owe zagajenie rozmowy, o którym powyżej wspomniałem, na jesieni 1925 roku.

W pierwszym kwartale 1926 rzeczy zaszły tak daleko, że trzeba było, w wykonaniu obowiązku służbowego, poinformować Prezydenta. Tej „dyplomatycznej" (Tokarzewski i dyplomatyczność!) misji podjął się ksiądz kapelan. Krótko mówiąc wygarnął wszystko, co wiedział z dostarczonych mu dokumentów i obserwacji. Ostrzeżenie to żadnego skutku nie odniosło, ani tu, ani na innych, niższych, szczeblach. Przeznaczenie miało się dopełnić.

Chciałbym, jedyny dziś pewno depozytariusz ówczesnych wrażeń ks. Mariana Tokarzewskiego, przekazać potomności nie pozbawiony historycznego znaczenia szczegół — jego delegacji do Piłsudskiego w ostatnim dniu walk, a właściwie w nocy,

(Dokończenie na str. 4)

Po łepkach

DUCH OBJAWIA SIĘ W TRADYCJI

Podobnie jak podstawą gospodarki pieniężnej są zapasy złota, tak podstawą kultury jest tradycja. Gospodarka bez złota, zanim nie stanie się bankructwem, musi się oprzeć na cudzej sile, kultura bez tradycji może istnieć wyłącznie w oparciu o obce siły. Tradycja jest jedyną realną wartością kultury i jedynym jej miernikiem. Bez tradycji nie ma kultury.

Tradycja bowiem jest dziełem i siedzibą ducha. Człowiek różni się od innych istot posiadaniem tradycji, czyli duszy. Istnienie tradycji jest — po Objawieniu — głównym dowodem istnienia duszy. Nawet marksiści uznają istnienie ducha w działalności ludzkiej, chociaż usiłują go wyłowić z morza materii.

Wszystko czego ludzkość dokonała i co jest treścią życia człowieka jest pojęciem duchowym. Wypływa z ducha, a objawia się, utrwala i tworzy poprzez tradycję. Tradycja jest jakby przewodnikiem lub antenną ducha.

Rzeczywistość duchowa jest ogromnie delikatna. Uszkodzić ją i zniszczyć jest — z pozoru — niezmiernie łatwo. Nietrudno wyszydzić, spospolitować, wypaczyć. Pozornie oczywiście, ponieważ człowiek nie może się wyprzeć duszy ani jej refleksu — tradycji. (Tradycja jest poświatą duszy.) Nie może się człowiek wyprzeć tradycji, gdyż jego zaprzaństwo byłoby wyrażone również środkami tradycji, do której należy mowa, a nawet gest.

Czymże jest mowa? Tradycją umownych dźwięków, przywiązanych do ściśle określonych pojęć. Czym jest prawo? Czym sztuka? Czym moralność?

Chrześcijanie wierzą, że wszystkie te wartości pochodzą od Boga. Wszyscy inni muszą przyznać, że wypływają z tajemniczej siły, właściwej jedynie człowiekowi, a więc z duszy. Na jedno wychodzi. Dusza jest dowodem Boga.

A jednak w przedziwnie uparty sposób ludzkość uważa przeczenie rzeczywistości za największą mądrość. Zaprzeczyć Boga i duszy — pozornie łatwo. Ale co począć z tradycją?

Otóż tradycja jest główną przeszkodą materialistycznej filozofii i w ogóle wszelkiej filozofii niespirytualnej. Toteż jedyną szansą tych światopoglądów jest dowieść, że człowiek może zejść do natury i stanu zwierzęcego. Materializm mógłby jedynie wówczas zatriumfować, gdyby się mu udało z człowieka uczynić zwierzę (temu też służą łagry i sowiecki wymiar sprawiedliwości). Ale wówczas trudno by mu było triumfować, gdyż dopokąd istnieje filozofia, dotąd istnieje tradycja, a więc siła ducha. Czyli, że nawet filozofia materialistyczna jest dowodem istnienia duszy.

Dialektyczny materializm nie jest niczym innym, jak tylko urlopem pewnej części ludzkości w myśleniu o prawdziwym celu życia i ostateczności. Abstynencją od Boga. Dwa lonty płoną jednak pod tym światopoglądem: moralność i tradycja, dwie siostry nierozłączne. Mimo namiętnych prób marksiści nie mogą się otrząsnąć ani z moralności ani z tradycji. Aby tylko pochlebić swej dumie, przezwali je: moralność — klasową, a tradycję — dialektyczną.

Moralność klasowa nie jest wynalazkiem marksistów. Zbyt mocno dała się ona ludzkości we znaki, choć dotąd nie była moralnością (rzekomo) proletariacką. A dialektyczność tradycji? Nic w tym nowego. Niedialektyczna tradycja jest usychająca, chora, schyłkowa.

Moralność wydaje się również tradycją. Jeżeli tak, byłaby to największa tradycja ludzkości. Ale moralność w zasadach nie ulega zmianom — w przeciwieństwie do falującej, dialektycznej tradycji. Jest tedy moralność czymś trwalszym i nadrzędniejszym, niż tradycja. Tradycję ludzkość kształtuje, moralność jest nienaruszona. Toteż bardzo nierozsądne jest zdanie o „polskim obyczaju moralnym". Nie istnieje polski obyczaj moralny. Istnieje natomiast ludzki. Nie wolno moralności podporządkowywać tradycji. Są bowiem i złe tradycje, a kataklizmy duchowe współczesnej nam cywilizacji wynikają głównie stąd, że złe tradycje panują jeszcze tu i ówdzie nad moralnością.

Przytacza się czasem dowód, że przecież moralność istnieje nawet tam, gdzie panuje kompletny agnostycyzm. Owszem, ale jest to skutek początkowej siły wiary. Wiara przodków dała dzisiejszym agnostykom tradycję moralną. Ale to bardzo niebezpieczne zubożenie. Tradycja może bowiem wyschnąć, jeśli nie posiada żywych źródeł. Niemniej istnieje odmiana tradycji moralnej, chociaż jest to degradacja moralności.

Inna rzecz, że w zakresie moralności najpierw człowiek przyjmuje nakaz, a dopiero potem przychodzi przyzwolenie, podobnie jak w nauce najpierw przyjmuje się pewnik, a potem rozumowanie, zaś w kulturze najpierw wartość, a potem doznanie.

W uwagach powyższych chodziło o przypomnienie, że dwie, ściśle ze sobą związane a naczelne wartości ludzkie, to moralność i tradycja. Bez nich nie ma istnienia duchowego.

Stąd wynika prosty wniosek: im większe człowiek posiada poczucie godności swej duszy, tym silniejsze w nim jest pragnienie tradycji. „Zrywanie" z tradycją jest dowodem barbarzyństwa. Tradycja naturalnie podlega zmianom i ewolucji, a więc nie powinna się zasklepiać. Jednakże nie wolno się jej wyrzec. Możemy n.p. wstydzić się dziś polskiego feudalizmu czy sarmatyzmu albo przesądów szlacheckich, lecz nie wolno nam tych okresów i tych spraw wymazywać ze świadomości narodowej. Są one bowiem potrzebne właśnie dialektyce tradycji. Są znakami na jeziorze, kędy pływać nie wolno.

W każdej sprawie poza tym tkwi część prawdy (tkwi ta część i w komunizmie). Upraszczanie zjawisk i mumifikowanie osądów nie służą prawdzie. Panuje n.p. wśród Polaków rozpowszechnionie banalne twierdzenie, jakoby źródłem wszystkich naszych nieszczęść narodowych i największą zbrodnią polityczną było „liberum veto". Niby dlaczego? Jeżeli „liberum veto" przyniosło nieszczęścia, to samo ono było skutkiem wadliwego ustroju, który do liberum veto dopuszczał. Nie ono tedy, lecz ustrój zbyt zadufały w sobie, w którym się veto zrodziło, był przyczyną złego. Na domiar liberum veto było początkiem współczesnej demokracji parlamentarnej i jej fundamentalnego prawa — opozycji. Być może, iż nadejdą czasy, kiedy liberum veto będzie uważane za ozdobę naszej historii (próbował już tego dowieść Juliusz Słowacki).

„Przeciwstawianie przyszłości przeszłości — pisze Simone Weil w „Potrzebie korzeni" („The Need for Roots") — i odwrotnie jest absurdem. Przyszłość nie przynosi nam niczego, nie daje nam niczego; my tylko mamy jej dać wszystko, całe nasze życie, aby ją ukształtować. Lecz aby móc dać, trzeba posiadać; my zaś nie posiadamy innego życia, żadnej innej miazgi życiodajnej, jak zapasy zebrane z przeszłości, przetrawione, przyswojone i żywe w nas. Ze wszystkich potrzeb duszy ludzkiej nie ma bardziej istotnej, niż potrzeba karmienia się przeszłością."

„Przez wiele wieków ludzie białej rasy burzyli wszędzie przeszłość, ze ślepą głupotą, u siebie i poza domem. Jeśli przecież ludzkość mimo to uczyniła w tym okresie prawdziwy postęp, to nie z powodu owego szaleństwa, lecz wbrew niemu, pod wpływem tych niewielu wartości przeszłości, które jeszcze pozostały żywe."

„Raz zburzona przeszłość, nigdy nie wraca. Burzenie przeszłości jest zapewne największą ze zbrodni. Zachowanie tych resztek przeszłości, jakie nam pozostały, winno się stać wprost naszą manią. Musimy skończyć ze straszliwym wykorzenianiem" — Europy i świata.

Cóż nam pozostaje? Zacząć od siebie i nim wypowiemy codzienny banał: „skończmy wreszcie z przeszłością", zastanowić się dobrze, czy nie mamy zamiaru wypowiedzieć nonsensu.

Jan Bielatowicz

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 29 czerwca 1952.

RELIGIA I NAUKA

Week-end dyskusyjny „Veritasu"

Weekend Veritasu, który się odbył w „Wieczerniku" na Hampstedzie w dniach 19/20 kwietnia, był siedemnastym z rzędu i poświęcony został próbie konfrontacji współczesnej wiedzy z katolickim poglądem na świat. Intencją organizatorów było, jak to wyjaśniał Prezes Rady Veritasu, p. inż. J. Wiśniewski, aby nieco wyjść z „ghetta własnych problemów" i spojrzeć na to, co się w świecie nauki dzieje i jakie mamy z nią „punkty styczne". Rzeczywiście bowiem rozdział teologii od filozofii i przemiany zapoczątkowane w XVI w. doprowadziły w konsekwencji do dzisiejszej wieży Babel: odmiennych języków, światów pojęć i myśli. Uniwersytet — chlubne dzieło Kościoła — stał się pogańskim. Ludzie w nim kształceni nie mają wspólnego języka z katolikami. By móc się porozumieć trzeba wzajemnego poznania i zrozumienia. Katolicy muszą nie tylko pogłębiać myśl katolicką, ale też znać stan i tendencje współczesnej wiedzy. Łatwiej jest mówić o „czystej doktrynie" katolickiej, niż konfrontować stan współczesnej wiedzy z myślą katolicką. Wymaga to bowiem opanowania przedmiotu, umiejętności trafnej oceny i tworzenia syntetycznego poglądu. Dla katolika ogromnym ułatwieniem w tej pracy myślowej jest oparcie się na tomistycznym personalizmie.

O. I. M. Bocheński ostatni rozdział pracy pt.: „ABC tomizmu" poświęca personalizmowi. Główną jego tezą jest pogląd, że jedynymi substancjami w społeczeństwie są ludzie a społeczeństwo nie jest mitycznym bytem; że jednak społeczeństwo jest zespołem ludzi związanych ze sobą nie przypadkowo i że jest czymś więcej, niż sumą jednostek; że wreszcie człowiek dla pełni swego rozwoju potrzebuje uczestnictwa w życiu społecznym i winien dla jego dobra pracować i ma wzamian otrzymywać to, co do życia jest niezbędne; że dobro człowieka jest celem społeczeństwa a nie społeczeństwo celem człowieka; że dobra materialne są w zasadzie wspólne i służyć mają wszystkim, a zarząd dobrami pozostawiony właścicielowi prywatnemu daje lepsze wyniki i że praca nie jest rzeczą czy towarem, lecz jest prawem każdego człowieka; że istnieje wielość różnych społeczeństw o różnych celach, że każde społeczeństwo musi mieć władzę i określa jej zasięg i że jest koniecznością dostosowywanie ustroju do panujących okoliczności.

Week-end Veritasu odbywał się w łączności z pracami całej Pax Romana. W czasie ostatniego kongresu Paxu w Amsterdamie, w 1950 r., Ojciec św. w liście do Kongresu wytyczył cele i zadania, wzywając wszystkich katolików z wykształceniem do czynnej walki „na umysły". Idąc za wskazaniami Ojca św. zdecydowano najbliższe dwa lata i następny Kongres, mający się odbyć latem tego roku w Kanadzie, poświęcić roli uniwersytetu, jako tej instytucji, która ponosi odpowiedzialność za rozwój myśli i jej krzewienie. Wszystkie organizacje uniwersyteckie sfederowane w Pax Romana zajmują się obecnie problemami nauki. Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie Veritas w miarę swych możliwości stara się też w pracach tych uczestniczyć.

Ostatni Week-end był jednym z kolejnych ogniw tej pracy. Tym razem głos zabierali naukowcy. Referentami byli: wykładowca na Wydz. Ekonomicznym Polish University College p. Jerzy Zubrzycki, profesor filozofii na Uniwersytecie we Fryburgu ojciec I. M. Bocheński, O.P. i b. profesor Politechniki Warszawskiej, znany fizyk i matematyk, dr Tadeusz Felsztyn, obecnie wykładowca w katolickiej szkole angielskiej w Sheffield.

NAUKI EKONOMICZNO-SPOŁECZNE

P. Jerzy Zubrzycki omawiał nauki społeczno-ekonomiczne. W jasnym, logicznym, świetnie dydaktycznie ujętym referacie przedstawił prelegent charakterystykę ogólną tematyki będącej przedmiotem nauk ekonomiczno społecznych, następnie przedstawił założenia filozoficzne nauk społecznych, by wykazać konsekwencje z tych założeń wypływające i skonfrontować je z katolickim poglądem.

Współczesne społeczeństwo jest zróżnicowane, brak jest w nim sił scalających, panuje natomiast wśród niego niepokój, rozprężenie brak stabilizacji, zaś przedmiotem badań naukowych jest sam proces zmian, a nie ich właściwy sens. Mało kto zastanawia się, dlaczego to nieuchronne rozprężenie tak daleko poszło, dlaczego zgubiliśmy sens życia i działania, gdy jeszcze w średniowieczu takie słowa jak osobowość ludzka, łaska, nadprzyrodzone poznanie, miłość — miały i swój sens i były treścią życia.

Początek współczesnego rozdarcia umiejscawia prelegent w XIV w. gdy awerroizm oderwał od filozofii teologię. Kartezjanizm posunął przemianę dalej, by za czasów Smitha ekonomię nazywać „filozofią". Tak „korona nauk" stała się „narzędziem utylitarnym" Tomistyczny ideał wiedzy i cnoty mądrości, jako zdolności dociekania i poznawania istoty oraz przyczyny zjawisk w drodze do pełnej Prawdy, ideał moralny wymagający pełni rozwoju osobowości i towarzyszących cnót, takich jak wielkoduszność czy dalekowzroczność (longanimitas), został zastąpiony przez krótkowzroczną tendencję szybkiego zdobywania umiejętności praktycznych. Nie wiedza, lecz umiejętność, nie mądrość, lecz inteligencja i wyobraźnia są zarówno przedmiotem kształcenia jak i instrumentem poznawczym badającego.

Konsekwencją takiego nastawienia są panujące obecnie teorie i metody badawcze. Instrumentalizm dominuje. Naukowiec staje się pewnego rodzaju rzemieślnikiem. Omawiając różne teorie naukowe wykazywał mówca ich absurdalne konsekwencje.

Zestawiając i porównując pogańskie poglądy współczesnej myśli laickiej z katolicką koncepcją człowieka, prelegent bardzo słusznie podkreślił jedność moralną i łączność poszczególnych sfer ludzkiego działania, jak również hierarchiczność porządku i wartości, w których niższe podporządkowują się wyższym, wreszcie że osoba ludzka wyniesiona do poziomu łaski przemienia człowieka i pozwala mu w pełni uczestniczyć w wielkim akcie miłości Bożej.

Bardzo ciekawe były ilustracje dawane w wykładzie dla przedstawienia pozytywnych dociekań niektórych naukowców, jak np. prof. Pigou, który w swej „ekonomice dobrobytu", badając przyczyny nędzy ludzkiej sięga do sądów wartościujących i czystej filozofii; lub socjologa, prof. Mayo, który dla podniesienia wydajności chicagowskich zakładów, zwraca uwagę nie na narzędzia produkcji, a na pracującego przy warsztacie c z ł o w i e k a i usprawnia całe przedsiębiorstwo przez rozwiązywanie najważniejszych problemów zespołu pracowników. Mayo odnalazł w fabryce człowieka.

Przed katolikiem staje pytanie: gdzie leży ów kamień filozoficzny dla nauk ekonomicznych i socjologicznych w chwili obecnej? Recepty nie ma. Można tylko wskazać kierunek, na którym spodziewane jest rozwiązanie problemu: jest nim c h r z e ś c i j a ń s k i h u m a n i z m, właściwe pojmowanie człowieka jako jednostki tworzącej społeczeństwo i jako o s o b y przeznaczonej do chwały Bożej.

FILOZOF O IDEI UNIWERSYTETU

Atrakcją week-endu był wykład ojca Bocheńskiego. Wykład osobliwy, bo „z druciku". Nie mogąc sprowadzić ze Szwajcarii znakomitego profesora, organizatorzy uzyskali szpulkę z nagranym wykładem, wygłoszonym do mikrofonu we Fryburgu na temat idei uniwersytetu. Wykład był tak jasny, wszędy tak przekonywujące, że należałoby dążyć do wydania go w osobnej broszurze, aby jak najszersze koła inteligencji polskiej mogły się z nim zapoznać. Przetłumaczenie zaś tego wykładu na angielski, czy francuski mogłoby być cennym wkładem Polski do obrad kanadyjskiego kongresu Pax Romana.

Ojciec Bocheński rozprawia się najpierw z powiedzeniem „uniwersytet jest świątynią". Jako tomista omawia cnoty moralne i intelektualne i wskazuje, jaka instytucja które cnoty szczególnie rozwija. Jest zdania że uniwersytet nie jest zakładem wychowawczym kształcącym wszystkie cnoty, lecz że ma jedynie rozwijać r o z u m i ma być suwerenny w zakresie nauki. Człowiek mogący angażować myśl w każde działanie, ma rozumieć otaczający go świat, ma to rozumieć przyjmowane przez wiarę dogmaty. Poznanie świata przyrodzonego zbliża człowieka do Boga, zaś przez opanowywanie techniki i właściwe jej stosowanie dopomaga człowiek do podporządkowania całego świata Bogu. Duch naukowy to duch obiektywizmu, to rzetelny wysiłek woli w pokonywaniu przeszkód procesu poznawania, to wreszcie duch pokory wobec ogromu wiedzy i znikomości poznającego. Praca badawcza formuje i uszlachetnia naukowca. Zadaniem więc uniwersytetu jest pielęgnowanie nauki, a przez to formowanie studentów. Jedną z ważnych tez referatu jest pogląd, że wszystkie wydziały praktyczne powinny być poprzedzone kursem wstępnym, dającym niezbędne podstawy myślowe (logika, filozofia, teologia). Każdy musi posiadać m ą d r o ś ć, nie tylko techniczną umiejętność, czy wiedzę praktyczną. Uniwersytet ma dać umiejętność oceny zjawisk i tworzenia poglądu na świat.

W obecnym stanie rozwoju nauk, gdy wychodzi ponad 30.000 czasopism naukowych ogarnięcie całości wiedzy jest niemożliwością. Jest natomiast możliwa i konieczna pewna synteza od góry i od dołu. Uniwersytet ma zajmować się wszystkim, czego rozum ludzki imać się może, jednolitość wszystkim nauk winna dawać ta sama l o g i k a naukowego myślenia.

Prelegent stwierdzał że zagadnienie uniwersytetu katolickiego rozumiane jest często formalistycznie. U niektórych katolików panuje tendencja przytłoczenia teologią, apologetyką, obowiązkowymi praktykami religijnymi itp. A tymczasem chodzi o coś głębszego, o jednakową myśl przewodnią, jedną kowe podstawy wyjściowe, które dają logika i filozofia.

Uniwersytet pośrednio tylko wpływa na rozwój innych cnót, np. roztropności. Przez wiedzę dostarcza przykładów, nie kształcąc umiejętności zastosowania ich. Dlatego np. polityk powinien radzić się naukowca, lecz też sam roztropnie te rady wykorzystywać.

Dla zajmowania stanowisk kierowniczych wymaga się dziś dyplomu uniwersyteckiego. Uniwersytet więc faktycznie „wychowuje" warstwę kierowniczą. Musi ona posiadać potrzebne usprawnienia dla dobrego wykonywania swych funkcyj. Ponieważ uniwersytet ma rozwijać tylko rozum, istnieje też potrzeba innych form dodatkowych, jak kollegia aby w nich młodzież akademicka mogła wychowywać się społecznie. Zadaniem profesorów uniwersytetu jest rozwijanie n a u k i a nie wychowywanie młodzieży. Dzisiejszy stan techniki zagraża poważnie nauce. Problem rekonstrukcji uniwersytetu i nadania mu właściwego znaczenia jest zagadnieniem pierwszoplanowym.

NAUKI MATEMATYCZNO PRZYRODNICZE A WIARA

Warto przypomnieć wydrukowaną we Włoszech w 1945 r. broszurę dra Tadeusza Felsztyna pt.: „Wiara i wiedza w świetle nowoczesnych poglądów fizycznych", w której omawiając światopogląd fizyczny porusza autor takie problemy jak materializm, nowoczesne pojęcie materii, świat poza czasem i przestrzenią, indeterminizm czy prawa statystyczne i nieokreśloności; w drugiej zaś części tej broszury autor przedstawia dwa układy odniesień: układ wiedzy i układ wiary, przeprowadza ich rozgraniczenie i analizuje ich wzajemny stosunek, aby w części trzeciej doprowadzić czytelnika do wniosku, że „nie ma najmniejszej nawet sprzeczności między wiedzą i wiarą".

Jest to tym bardziej ważne, że nawet wśród wielu katolików istnieje jeszcze dziś pogląd że spraw wiary nie należy „brać na rozum", a tylko tak jakoś w całości, przyjąć je „na wiarę" i strzec, nierozpoznawszy swego skarbu. Gdy tymczasem Bóg chce, byśmy już za życia Go poznawali i coraz bardziej miłowali. Jakże można miłować osobę nieznaną, a miłowanej nie starać się poznać coraz bardziej, aż do granic możliwości?

Niesposób podać w streszczeniu tego, co było już syntezą. Prof. Felsztyn jako matematyk i fizyk dał doskonały przegląd rozwoju tych nauk i przypomniał takie osiągnięcia naukowe, jak określenie „wieku" wszechświata, czym udowodniono fakt jego stworzenia, dotychczas przyjmowany „na wiarę"; czy obalenie tezy determinizmu w świecie przez odkrycie zjawisk i praw indeterministycznych, tak dobrze znanych fizyce atomowej (pośredni dowód możliwości cudów, jako czegoś uzależnionego od innej przyczyny).

Bardzo ciekawe były uwagi na temat nescientyzmu, rozwijającego się szczególnie w Anglii

Prof. Felsztyn jest zdania, że w nauce należy powrócić do podstaw logiki i epistemologii. Nauka bada zjawiska, które są powtarzalne i dadzą się wywołać naszą wolą, jednak nauka współczesna nie da odpowiedzi na szereg dręczących człowieka pytań. Nauka nie ma podstaw do odrzucenia zjawisk nadprzyrodzonych. Zakres poznania naukowego jest ograniczony. Nauka nie jest jedyną drogą poznania i tym bardziej nie jest jedynym wskaźnikiem postępowania. Bez założenia istnienia pierwszej przyczyny sprawczej w Bogu nie można zakładać istnienia prawa w przyrodzie. Z hipotez naukowych nie można tworzyć pewników i dogmatów. Natomiast „Bóg objawił swoje prawdy i dał nam je do poznania" — kończył swój wykład prof. Felsztyn — „kto wierzy, ten wie, kto poznaje przez zmysły, ten tylko domyślać się może".

GŁOS ASYSTENTA KOŚCIELNEGO

Na zakończenie dyskusji zabrał głos główny asystent kościelny „Veritasu", ks. Tadeusz Kirschke. Nawiązał on do ostatniej wypowiedzi Papieża, wzywającej katolików, by upowszechniali naukę katolicką i stwierdził, że „kto chce iść do ludzi i ich nauczać, musi być przygotowanym do tego. Dlatego już teraz trzeba rezygnować z wielu rzeczy, aby się samemu kształcić".

Najważniejszym — zdaniem ks. asystenta — problemem rozważań week-endu jest ustalenie pojęć r e l i g i a i n a u k a. Każdemu z tych pojęć odpowiadają „odpowiednie tereny" Religia obejmuje zagadnienia Boga i moralności, a nauka interesuje się światem. W pewnym zakresie obie dziedziny badań są niezależne od siebie. Co więcej, każda nauka ma swój zakres, w którym jest suwerenna. Nauka jest niezależna, ale naukowiec jest ograniczony w swoim działaniu i uzależniony. Naukowca obowiązuje bowiem i Objawienie i nauka Kościoła. Nie może on wyciągać wniosków sprzecznych z Objawieniem (np. odnośnie istnienia duszy ludzkiej) lub stosować niemoralnych metod badania (jak stosowane przez niektórych Niemców nad jeńcami w obozach koncentracyjnych).

Naukowiec może się mylić w stawianiu swoich tez, hipotez, czy formułując prawa i pewniki. Bóg w Objawieniu swych praw nie pomylił się. Nie myli się też każdy, kto Objawienie przyjmuje. Stąd płynie konieczność pokornego przyjmowania Prawdy objawionej. Świadomość pełnego podporządkowania się Bogu chroni człowieka (a naukowca szczególnie) przed pychą.

W poszukiwaniach naukowych obowiązuje obiektywizm, odwaga szukania pełnej prawdy i świadomość obowiązku służenia jej. Jako katolicy mamy liczne braki do odrobienia. Niestety wielu jeszcze naukowców nie czyni wysiłku w umieszczaniu poznawanej przez siebie prawdy w całokształcie prawdy. „Jeżeli naukowiec musi być obiektywny — reasumował ks. Kirschke — to katolik musi być pełny sprawiedliwości i miłości. Nawet dla błądzących przeciwników".

WOJCIECH DŁUŻEWSKI

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

SEZON WYDARZEŃ KULTURALNYCH W WENECJI. Wśród miast, organizujących corocznie imprezy kulturalne na skalę międzynarodową, obok Paryża na pierwsze miejsce wybiła się ostatnio Wenecja. Sezon tegoroczny zapowiada się szczególnie bogato. W dniach 14 czerwca — 19 października odbywa się 26-ta Międzynarodowa Wystawa Sztuki urządzana od pewnego czasu co dwa lata. Przez cały lipiec odbywać się będą w Pałacu Dożów koncerty symfoniczne. Tegoroczny, trzynasty z rzędu Międzynarodowy Festiwal Filmowy zaczyna się 20 sierpnia i trwać będzie do 12 września. W pierwszym tygodniu września odbędzie się Festiwal Mody. Jeszcze przed zakończeniem Festiwalu Filmowego, bo dn. 10 września otwarty zostanie Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej, który potrwa dwanaście dni. Zaraz potem obradować będzie światowy Kongres Artystów, urządzony pod auspicjami UNESCO, zaś w dniach 23 września — 5 października odbędzie się 13-ty Międzynarodowy Festiwal Teatralny.

Poza tym przewidzianych jest szereg tradycyjnych uroczystości lokalnych, które niewątpliwie będą także wielką atrakcją dla turystów, jak nocna „fête" na Canal Grande w dn. 16 sierpnia oraz regaty historyczne w dniu 7 września.

O BIBLIOFILSTWIE. Pod patronatem National Book League oraz Antiquarian Booksellers Association odbył się niedawno w Londynie szereg odczytów, poświęconych sztuce kolekcjonowania książek. Odczyty te wyszły obecnie razem w książce pt „Talks on Book Collecting", pod redakcją P. H. Muira (Cassell, cena 12/6). Prelegentami byli, poza redaktorem książki, E. P. Goldschmidt, Simon Nowell-Smith, John Carter, Howard M. Nixon, Ernest Weil, Ifan Kyrle Fletcher.

Bibliofilstwo w swej obecnej postaci datuje się od początków XIX stulecia. Do tej pory jednak brak między bibliofilami zgody jakie kryteria stosować przy ocenie wartości książki. Dotyczy to np. pierwszych wydań dzieł wybitnych pisarzy, które zresztą są poszukiwane i cenione przez wszystkich miłośników książek. Dyskusja zaczyna się od zagadnienia, czy największą wartość posiadają egzemplarze pierwszych wydań, odznaczające się nienagannym stanem wewnętrznym i jakby przez nikogo nie ruszone, czy też egzemplarze „używane", naopatrzone dopiskami i podkreśleniami, pełne „oślich uszu" od częstego przewracania stronic itd. Olbrzymia większość bibliofilów opowiada się za pierwszą z tych alternatyw, z tym, że oczywiście egzemplarze książek, które były własnością sławnych ludzi, opatrzone były przez nich dopiskami itd. mogą mieć wartość specjalną; ma to jednak charakter wyjątkowy. Są wszakże i tacy miłośnicy książek, którzy uważają, że dopiero książka nieco już zużyta przez częste czytanie, pokreślona, popisana, jest obiektem godnym uwagi i pożądania, jako dokument epoki i stosunku czytelników do autora.

Sprawa ta znalazła wyraz i na łamach wspomnianej książki zbiorowej w odczycie p. Weila „Milestones of Civilization", omawiającym kolekcjonowanie pierwszych wydań dzieł naukowych. P. Weil podkreśla, że książki tego rodzaju były z reguły często używane, czytane i opatrywane dopiskami, toteż jest rzeczą naturalną, iż tak muszą wyglądać ich pierwsze wydania, od których nie należy oczekiwać nieskalanej świeżości. Recenzent „Times Literary Supplement" wyraża życzenie, by podobne stanowisko przyjęte zostało także w stosunku do książek z zakresu literatury pięknej. „Szał komercjalny w poszukiwaniu książek w doskonałym stanie — pisze on — zaśmiecił rynek księgarski i księgozbiory prywatne upiększonymi kosmetycznie potwornościami, wycackanymi i wymalowanymi jak wyuzdane starszawe damy, w celu ukrycia elegancji i powabu ich wieku".

Uwaga recenzenta „Times Lit. Supplement" wywołała replikę p. M. Sadleira, który wyraża opinię, że zbieracze książek mogą zaznajamiać się z ich treścią z przedruków natomiast powinni dbać o najlepszy możliwie stan zbieranych przez siebie „first editions". „Doznajemy szczególnej przyjemności — pisze on — widząc książkę w takim stanie, w jakim po raz pierwszy ujrzał ją jej autor".

TRUDNOŚCI „ANGLO-POLISH REVIEW". Dowiedzieliśmy się z prawdziwą przykrością że ukazujący się od początku r. 1950 i doskonale redagowany miesięcznik „Anglo-Polish Review", organ Rady Centralnej Towarzystw Anglo-Polskich, przestał się ukazywać z braku funduszów. Po dłuższej przerwie wywołanej zlikwidowaniem — z tych samych przyczyn — czasopisma „Voice of Poland" wydawanego przez szereg lat z takim poświęceniem przez p. Harasowską w Glasgow — „Anglo-Polish Review" wypełniło tę lukę, stwarzając źródło informacji o Polsce i łącznik między kilkudziesięciu Towarzystwami Anglo-Polskimi, istniejącymi w obecnej chwili. Gdyby pismo to upadło na dobre, byłaby to strata niepowetowana i nowe urwanie tradycji, których wyrazem było założone w roku 1832 Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski w Londynie oraz jego wydawnictwa.

Należy wyrazić nadzieję że przecież znajdą się jakieś fundusze, które pozwolą byt „Anglo Polish Review" utrzymać.

steckiego symbolicznej trój-inwokacji: „Polsza, Ruś i Łyt'wa". Tak też sobie imperium polskie wyobrażał, sądząc słusznie, że na słabe jego człony w konfiguracji Rosja-Niemcy miejsca na świecie nie ma.

Dziwić się trudno, że w opisywanym okresie przeciwdziałał wszelkim przedwczesnym, drobiazgowym, pozbawionym głębszej perspektywy rozliczeniom, opartym na zasadzie, aby oderwać od Polski, odparcelować to i tamto i nic jej wzamian nie dać.

Podzielałem bez reszty tę jego postawę. Nie posiadała ona żadnego posmaku zachęty do jakichkolwiek przeciw Ukraińcom represji, niemoralnych i bezcelowych. Ale że wciągnięty w wir walki, gdy atakującymi byli Ukraińcy, bronił polskiej sprawy, za zasługę mu trzeba poczytywać.

* * *

Uczono nas, mój Księże, swoje sentymenty traktować jako dziedzinę ściśle prywatną. Nie produkować ich publicznie. Gwoli czemuż więc wywołałem Twego, tak mi bliskiego, Ducha?

Żyjemy w czasach, kiedy mówi się co innego, niż się myśli, a myśli się co innego, niż się czuje. Na dnie tego leży — bojaźń bycia sobą, bo to żenujące a nieraz i niebezpieczne.

Tokarzewski całe życie był sobą. Jako kapłan ofiarny i gorący rycerz, rozumiejący to miano za oznakę zdwojonej służby, a nie przywilejów, żołnierz do końca wierny.

Wyobrazić sobie trudno naród bez warstwy kierowniczej. Polska idealna, tworząca się nieustannie „upper class" miała w nim swego nienajgorszego przedstawiciela.

Cóż tu mógł uśmiercić strzał w lochach „osoboj tiurmy" albo, gdyby tak wypadło, lata tułaczki i poniewierki na obczyźnie? Nieulękłe narodowe siły będą się, w naszych następcach, wciąż odradzały i odnawiały.

Jerzy Dołęga Kowalewski

RYCERZ Z BARU

(Dokończenie ze str. 3)

która po tych walkach nastąpiła. Ścisłej daty już w tej chwili ustalić nie potrafię. Nie potrzebuję dodawać, że będę się starał jak najbardziej wiernie opowiadanie to odtworzyć.

Nie wiem czy postanowienie „poddania się", zrezygnowania Prezydenta, powzięte wtedy w Belwederze, było wynikiem wyłącznie woli Wojciechowskiego, czy też unanimeter z gabinetem ministrów Wspominał mi jedynie Tokarzewski o „ultimatum" ambasadorów państw obcych, uzależniających swoje pozostanie w Warszawie od okoliczności, czy Piłsudski po ustąpieniu Prezydenta zechce podporządkować się jego konstytucyjnemu następcy, marszałkowi sejmu Ratajowi.

Z tych to lub innych powodów Tokarzewski, jak opowiada, był wezwany do pokoju, w którym znajdował się Prezydent w otoczeniu ministrów. Wojciechowski siedział w fotelu, przygarbiony, przygasły, z twarzą w dłoniach. Odezwał się:

— Ksiądz z majorem Mazankiem pojadą do marszałka Piłsudskiego...

Na to Witos, stojący twarzą do okna:

— Wygląda, żeśmy się schowali za księżą sutannę...

Przed wejściem do samochodu ksiądz od proga rzucił spojrzenie na Wojciechowskiego. Oczy ich się spotkały. Prezydent musiał odgadnąć jak niesamowite podejrzenie zanurtowało w myślach kapelana. Władzę bo nieraz oddaje się z życiem... Toteż odpowiadając na nieme pytanie ócz księżych, dodał:

— Nie, księże, ja t e g o nie zrobię. Jestem wierzącym katolikiem.

Samochód szedł przez linię wojsk pod białą flagą. Zajechał przed budynek Sztabu Generalnego, gdzie zdaje się Piłsudski miał wtedy kwaterę. W przedpokoju spotkał obu wysłańców adiutant. Oświadczył, że o widzeniu się z Piłsudskim mowy być nie może. Jest to pierwsza noc od zamachu, kiedy marszałek zasnął rozebrany w łóżku. Zakazano go budzić. Major Mazanek, wojskowy, cofnął się służbiście. Ale ksiądz? Nie mogło go nic powstrzymać od wykonania zlecenia Prezydenta. Jednym ruchem ręki odsunął stropionego oficera i wszedł do pomieszczenia, gdzie spał marszałek.

Sładł na łóżku i zaczął tarmosić Piłsudskiego: — panie marszałku, panie marszałku! Ten budził się, mruczał coś w półśnie i zasypiał znowu. Ksiądz posadził go na łóżku, objął, Piłsudski bezwładny, „przelewał" mu się w ręku, ciężył całym ciałem i co raz to opadał na poduszki. Najkrótsze, najdobitniejsze zdania nie dochodziły do jego świadomości. Wreszcie ksiądz swoim stentorowym głosem wykrzyknął mu w same ucho:

— Panie marszałku! Krew dalej leje się na ulicach Warszawy! Polscy żołnierze zabijają jeden drugiego. Ta krew spadnie na... (pozwoli czytelnik, że resztę tego zdania opuszczę).

Poskutkowało. Marszałek w samej koszuli zerwał się z łóżka. Rozjuszony, szalony wprost, chwycił księdza pod gardło, zatrząsł nim.

— Milcz, księże!

O to tylko chodziło. O dalszym odpoczynku już Piłsudski marzyć nie mógł. Wysłuchał spokojnie wszystkiego, co mu ksiądz wyłożył i o 7 rano — pojechał do Rataja.

* * *

Okres kapelanii księdza Tokarzewskiego przy Prezydencie Mościckim nie zastał mnie już w Warszawie. Spotykaliśmy się sporadycznie podczas moich przyjazdów do stolicy, wymieniliśmy niejeden list, aż przyszła wiadomość z Kowla, że ksiądz (wtedy infułat) jest tam proboszczem albo dziekanem.

Dochodziły mnie stamtąd — ubocznie, gdyż sam Tokarzewski jedynie mimochodem o tym wspominał — wieści o przeprawach, w jakie wdał się w Kowlu w związku z problemem ukraińskim.

Najmniej sposobna to chwila do omawiania podobnych zagadnień. Człowiek l e ż ą c y, jak my teraz, chwilowo oczywiście, widzi przedmioty w innej projekcji, ustawieniu, oświetleniu. A zresztą może mi Redaktor cały ten ustęp jako „polityczny" skreślić. Więc tylko parę słów w ścisłym związku z sylwetką ś.p. Zmarłego.

Nie umiał on inaczej myśleć, jak kategoriami p o l s k i e j racji stanu, rzecz jasna, nie po „sklepikarsku", nie hurra-patrjotycznie ujętej. I wiedział coś niecoś o Platona Ko-

„DWA ŚWIATY"

Michała Pawlikowskiego

w d r u k u

cena w przedpłacie £1.0.0

(o 1/3 niższa niż kiedy dzieło ukaże się na półkach księgarskich)

wpłacać należy pod adresem:

KOMITET WYDAWNICZY DWA ŚWIATY c/o Veritas Foundation Publication Centre, 12, Praed Mews, London W.2.

Z A P I S K I L O N D Y Ń S K I E

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

ZGON DESMONDA MACCARTHY'EGO

W tych dniach zmarł w wieku lat 75 jeden z najwybitniejszych brytyjskich krytyków literackich Sir Desmond MacCarthy. Na trzy dni przed śmiercią udał się do Cambridge, by przyjąć godność doktora literatury honoris causa, przyznaną mu przez tamtejszy uniwersytet. Stamtąd też wysłał ostatni ze swych artykułów, jakie co tydzień ukazywały się w „Sunday Times". Do śmierci spełniał obowiązki stałego współpracownika tego pisma, którym został w r. 1928, — choć w ostatnich latach dręczyły go niezwykle ostre ataki astmy.

MacCarthy był z pochodzenia, a w znacznej mierze i z umysłowości, Irlandczykiem. Urodził się w r. 1877; studia odbywał w Eaton oraz w Trinity College w Cambridge. Współpracował kolejno w szeregu pism w zakresie krytyki literackiej i wybił się w tej dziedzinie na jedno z miejsc czołowych. Jak stwierdza Ivor Brown, który kolegował z nim swego czasu w „Manchester Guardian", MacCarthy „był jednym z wielu Irlandczyków lepiej obznajomionych z literaturą angielską niż większość Anglików. W okresie kiedy Robert Lynd pisywał recenzje z książek w „Observerze", a MacCarthy w „Sunday Times", była to szczególnie szczęśliwa rywalizacja dwóch umysłów irlandzkich w służbie czytelników angielskich".

Przez dłuższy czas MacCarthy był także krytykiem teatralnym. Mimo skłonności do pewnego konserwatyzmu nie odnosił się wrogo do nowych prądów umysłowych i literackich. Nie znosił natomiast, gdy przedstawiciele tych prądów odcinali się całkowicie od dawniejszych tradycji kulturalnych i uważali się za rewolucjonistów, tworzących całkiem nowy świat. Dla MacCarthy'ego rozwój literatury stanowił ciągłość, którą należało obserwować w jej rozwoju, uwydatniając związki i korzenie nowych zjawisk.

MacCarthy rzadko tylko ogłaszał zbiory swych artykułów i essayów. W jednym z tych zbiorów pt. „Portraits" znajdujemy m. in. essay o Conradzie-Korzeniowskim. MacCarthy dopomógł również wdowie po Conradzie, pani Jessie Conrad, do opracowania i wydania jej wspomnień o wielkim zmarłym pisarzu.

Warto też dodać, że MacCarthy był szczerym przyjacielem Polski, czemu nieraz dał wyraz w swych artykułach.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. **Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: **AMB 6879.** Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w t e k ś c i e 50 proc. drożej, na stronie t y t u ł o w e j 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr. 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą 50. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palasewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734